

# DUNAJEC

TYGODNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 3 ROK I

Nowy Sącz, 2 listopada 1980

Cena 4 zł



„Rozstrzelany Prometeusz” WŁADYSŁAWA HASIORA

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIĄK

Władysław Broniewski

## CISZA

- Powiedz mi, jak ci na imię?
- Cisza.
- Powtórz, bom nie dosłyszał?
- Cisza.
- Czy to ty chodzisz po chrzątkich gałązkach wiosną?
- Czy o tobie słowik kląska, gdy trawy rosą?
- Ja jestem cisza, milcz, dumny.
- Zabiorę cię do trumny.

Adam Garbicz

## WYBÓR I PRZEZNACZENIE

Nie – powiedziałem.

Ja teraz tego nie mogę napisać. Opowiedzieć o swojej „Dunajcowej” nadziei. Wyjaśnić, skąd tu przyszedłem i po co. Otwarcie przedstawić się, com za jeden i dlatego dokonałem takiego wyboru.

Nie mogę, czy też raczej – nie powinienem, bo przecież to nie własne słowa świadczą o człowieku, lecz jego historia; nie za powiedzi, lecz spełnienia. Tymczasem ja dopiero zaczynam. I nie jestem stąd. I nie wiem, czy tu spotkam swoje przeznaczenie.

A jeszcze to, że szczęście cenię tak wysoko. Skoro więc miałbym się przedstawiać, to bez ułatwiania sobie roboty. No i gotowy następny problem: bo mam słabość do dużych słów, które bywają podejrzane, za które łatwo złapać.

Akurat mi to potrzebne...

Więc – nie, powiedziałem. Lepiej za rok: ja będę więcej wiedział i mnie da się jakoś poznać. A teraz? Teraz można tylko uwierzyć mi na kredyt. Czy to łatwe? Nie, inaczej: czy mam prawo tego oczekiwać?

Cóż, kiedy wpadłem. Bo najpierw gorąco poparłem sposób, w jaki nadzieję „Dunajca” przedstawił o siebie nasz naczelny, a potem mi się wymknęło, że i owszem, mogę i ja, lecz jeśli się na to samo zdecydował Antoni Kroh. Sądziłem, że odmówi. Byłem tego prawie pewny.

Ale widocznie nadzedł czas sposobny do otwartych, poważnych i optymistycznych wyznań, bo oto Kroh się zgodził bez namysłu. Na i nie ma apelacji: słowo się rzekło. Dobrym ludziom nadzieję dedykuję. Prześmiewcom do archiwum podkładam. Jestem.

Najpierw, skąd. Krakowianin z urodzenia, od lat bez mała dwudziestu mieszkam w całym kraju, bo całą niemal Polskę zjeździłem jako geofizyk-geoelektryk od poszukiwań naftowych. Nie Polskę wielkich miast, lecz Polskę małych domów, pól i lasów. Coś tam dobrego zrobiłem; czegoś, co chciałem największego, zrobić mi się nie udało: zbadania, czy jest szansa na naftę w naszych Karpatkach. Już takie pomiary zdecydowano – i skreślono przed kilku laty,

w programie szukania rezerw. Szukano ich nie tam, gdzie należało.

Kiedyś trzeba było geofizyce terenową pożegnać. Bo nie można wiecznie z kątą w kąt. Bo dam i rodzina, i mieszkanie w Krakowie. Ale przecież w ogóle w geofizyce mogłem pozostać. Nikt mnie nie wyprowadził. Mam tam dobrych kolegów. Są tam ludzie, którzy wiedzą, jak pracować, a trudna to bywa praca.

Mogłem też osiaść w Krakowie i robić dalej to, co z biegiem lat stało się moim największym zainteresowaniem i specjalnością: pisać o kinie. Mogłem tym bardziej, że filmy, że poznawanie przez nie obrazu świata i wnętrza człowieka mam za bardzo ważne dla wszystkich. Za jeden z najlepszych sposobów rozwoju naszego myślenia o życiu. A chcę właśnie pisać o życiu, o tym, co potrzebne i pomocne.

Mogłem. Ale Kraków, mój rodzinny Kraków, stoi dziś w ranach i biedzie, dusi się w sadzy i dymach. Zbyt długo zapomniany, zbyt długo spychany w podziemie na koniec polskiego stalu narodowego, jest dziś miejscem, w którym trudno z energią witać dzień za dniem. Szczególnie mnie, bom się przyzwyczaiłem do ruchu pod czystym niebem, do szerokiego przestrzeni przyrody, bez których już chyba nie będę umiał żyć. Nie, wydaje mi się, że nie potrafiłbym bez chodzenia po lesie, bez spotykania ciągle nowych miejsc i nowych ludzi.

Czyli – ucieczka? Czyli – samolubstwo? To, co wygodne; a gdzie obowiązek?

Każdy powinien znać swoje przeznaczenie. Czy moje nie jest tam, w mieście, które może mnie potrzebuje? Przy moich bliskich, którzy potrzebują mnie na pewno? A ja sobie chcę być połową tam, a połową – tu. Co może usprawiedliwić taki wybór?

Bo znów jest to tylko wybór. Nie ciągnęli mnie tu wolaми. Nie skierowali przecież do służby. Trudno mi w ogóle gdzieś zaciągnąć. Nie umiem się wbrew sobie podporządkować. Żaden powód do dziwności. Ale wiem o tym, więc staram się uczciwie.

A jestem tu po to, by coś dobrego zrobić dla innych. Bo tego chcę naprawdę. Być wiernym temu, co potrzebne. Skoro potrafię przez to, że piszę, skoro to wydaje mi się przeznaczone – spróbuję. Nie przyjdzie mi łatwo. Bo zanadto jestem w gorącej wodzie kąpany; i chyba zbyt osiry w sądach, i nosi mnie za ideałami, i może za bardzo wierzę w rozum i dobre uczucia.

Dlaczego tu? Bo szczerze podziwiam te ziemie.

choć mało ją jeszcze naprawdę znam. Może poza śnieżną Bukowina; poza jesiennymi stokami Garców koło Szczawy, gdzie uczyłem się geologii; i tą Krową Doliną Białej Wody, gdzie badałem do pracy dyplomowej niezwykle słup bazaltowy; i kościołem na Jaszczurówce, gdzie brałem ślub; i Skawą, Kawańcem, Porebą Wielką, Piwniczną z wakacji dziecięcych; i szlakami koło Magury Małostawskiej, na których malowałem znaki turystyczne; i Orawą w okolicach Podszkła, gdzie kiedyś mi się wydumało kupić opuszczoną chałupę; i wszystkimi górami koło Mszany, na które musieliśmy wjechać samochodem-aparatem, aby zrobić tam pomiary geofizyczne; i wzgórzami pod Bartnem, zwiedzonymi na nartach; i Tatrami, po których wspinalem się z córkami.

Tak, te strony widziałem z bliska; ale to są te widzenia od strony najpiękniejszej. A ja tu nie tylko po to, by żyć pięknem, lecz aby żyć wśród ludzi. Blisko ziemi, którą chciałbym podnosić do nieba.

Przeznaczenie: kto wie, jak to się z nami dziwnie zdarza? Matka moja, nauczycielka, pochodzi z górniczej rodziny ze Śląska Zaolziańskiego, jest córką skarbnika-założyciela Związku Górników Polskich. Może stąd przeznaczenie kazało mi odslużyć kilkanaście lat w górnictwie naftowym, choć najpierw chciałem studiować biologię? Ojciec prodził się w gospodarstwie w polskiej wsi pod Tarnopolem i też został nauczycielem – w szkolnictwie specjalnym. Wyszedł z ziemi, by pełnić służbę społeczną. Może mnie teraz uda się po to samo blisko ziemi wrócić? A usiedzieć na miejscu nie potrafię dlatego, że tak odległe są gniazda rodzinne przodków? Obydwa poza granicami dzisiejszej Polski...

Ale gdzieś dalej w świat mnie nie wywidzie. Ba te granice dla mnie ważne. Owszem, udało mi się być gdzie indziej; choćby przez rok we Włoszech. Widziałem wtedy prawie cały kraj, zachwycałem się pejzażem, ale i wiele się tam nauczyłem o życiu. Wróciłem już pewny, że w Polsce idziemy dobrą drogą, choć się trochę zataczamy; że tu jest i będzie lepiej.

Chcę być tu. Wierzę w to, co tu. Postaram się opisać, co słachetne – i co złe. Czas nadzedł do pracy. A wybrałem „Dunajca”, zanim jeszcze czas ten nadzedł; to było ostatniej zimy. Ufałem, że można zrobić coś pożytecznego. Tym bardziej wierzę teraz. I niebawo z tego zrezygnuję.

Czy uda się – osądzić.

**CZWARTEK:** noc w poclagu z Warszawy. Poborowi — spici dokumentnie i bezkarni jak święte krowy... O święcie zostaną po nich rozbite szafki w ubikacji i zdemolowane zamki. Czynnici znowu trzeba wyjść na korystar, narząca się poza granice rozsądku? Czy nie ma innego sposobu na wymuszenie porządku w srodkach komunikacji publicznej?

**PIĄTEK:** pierwszy numer „Dunajca” w kioskach. — Dlaczego nie drukujemy programu telewizyjnego? — Dajcie więcej tekstów do czytania. — Prosimy o krzyżówkę. — Mniej o polityce. — Więcej o polityce...

Wieczorem telewizja podaje, że trzech ministrów nie przyjęło zaproszenia na dyskusję o systemie sprzedaży mięsa na kartki.

**SOBOTA:** wczoraj za namową znanych wznosiłem po latach przerwy bieganie dla zdrowia. Teraz z obolałymi mięśniami szukam wytchnienia w lekturze: „Poszukaj sobie chłopaka z zadatkami, musi być do znalezienia, szukaj go, znajdź, nie spiesz się i daj mu szkole. Zmusz go, na początek, żeby przebrnął przez tysiąc książek, popędź go na tysiąc ulic. Spieraj się z nim, aż nie zostanie mu nic innego, tylko własne zdanie. Pogłaskaj go, kiedy ci powie, że cię nie rozumie i wypal z nim papierosa, kiedy używa słowo nadużywane za idyotyczne. Spróbuj zrobić z niego człowieka, który jest uprzejmy, ale nie tchórzliwy, który nie szanuje dogmatów i wierności zasadom nie myli z dogmatyzmem”.

Czy ta recepta starczy dziś, żeby trafić do serc nieufnych? Czy dziennikarz ma sięgnąć po słowa ostrzejsze, po tematy drażliwe, skoro słasza. Ojczyzna w równym stopniu potrzebuje odwagi i roztropności? Spieczętać fale, idealizować tych, którzy dużo obciążają, lecz nie poczuwają się do odpowiedzialności?

**NIEDZIELA:** wlec z Lechem Wałęsą. Robotnik, nie orator, człowiek bez wprawy w działaniu publicznym, spieszy się do Tarnowa — wiele powodów można znaleźć, żeby mu to i owo wybaczyć. Odżegnaj się od polityki i równocześnie co chwile wkracza na jej obszary. Wróg demagogii i jednocześnie autor niefortunnego sformułowania. Twardo piętnuje cudze błędy, ale nie rozprasza wątpliwości wokół siebie.

Sam płacilem fryzycer przed 24 laty za brak wiewowego obycia, więc powinienem mu darować potknięcia. Ale

Lenina: zantm się naprawdę zjednoczymy, musimy wpiwer wyraźniej się podzielić.

**WTOREK:** komentarz w „Gazecie Południowej” o wiewowej szarzy Lecha Wałęsy. Tytuł: „Bez etykietek ale szczerze”.

**ŚRODA:** mecz „Widzewa” z Włochami. Zbigniew Boniek znowu w wielkiej formie i znowu dyskutuje z sędzią. Czy ci wszyscy utalentowani chłopcy muszą swoją zadziorność uwewnętrznić w słowach?

**CZWARTEK:** konsultuję z prof. Antonim Sitkiem pomysły drukowania

jest faktem. Chwilę potem wyjątkowo: Sąd wprowadził korektę do statutu „Solidarności”. Z Porozumienia Gdańskiego, podpisanego wiedy przez obie układające się strony — wzięto dosłownie cytaty traktujący o obliczu ideowym nowego związku. Wałęsa zapowiada odwołanie się do Sądu Najwyższego.

**SOBOTA:** dyskusja w KW o stosunku do „Solidarności”: kładziemy akcent na to, co nas łączy, a nie na to, co dzieli. Idzie o budowanie mostów ku trwałemu współdziałaniu na gruncie realiów. Są już w naszym województwie dobre przykłady współpracy, trzeba ją ugruntować, kierując się ku konstruktywnym działaniom w interesie załóg. Bez uprzedzeń należy rozszerzać dotychczasowe kontakty, rzetelnie realizować lokalne uzgodnienia. Czas zweryfikować rzeczywiste walory nowych przywódców związkowych, ale także nasze umiejętności przewodzenia, prowadzenia dialogu, a gdy zajdzie potrzeba — podjęcia walki na argumenty.

**NIEDZIELA:** celna myśl Jerzego Urbana w „Polityce”: „Skoro nie możemy ani porozumienia złożyć, ani ich wykonania odwiec, ani też wykonać zobowiązań w pełni (np. jeśli idzie o ceny i zaopatrzenie rynku) — jedynym wyjściem są powtórne negocjacje (...) Nowy ruch zawodowy musi zrozumieć, że nie może się odzwać współodpowiedzialności, bo zablądzi w kosmiczny absurd, jakim jest bezkompromisowe decydowanie o sposobie krojenia bochenka chleba, którego w ogóle nie ma”.

**PONIEDZIAŁEK:** Antoni Ręčka, działacz społeczny z krwi i kości, — zgłoszony został przez sesję WRN na stanowisko wojewody nowosądeckiego. Dużo zdrowia życzymy w plewieniu ugorów rozmaitych!

## ADAM OGORZAŁEK Pisane w pośpiechu

pytania, z którymi przyszedłem na to spotkanie, pozostały bez odpowiedzi. Niedomówień jakby więcej. A Sierpień — to zbyt wielka sprawa, żeby ją rozminiać na drobne. Chcę wierzyć w dobrą wolę, rozsądek i czysty cel o zdrowieńskiego ruchu. Bez dalszych rozmów z działaczami „Solidarności”, bez wyjaśnienia wątpliwości — nie posuniemy się do przodu. Podtrzymuję zaproszenie „Dunajca” i naszą gotowość do dialogu ledwie zaczętego w poprzednim numerze.

**PONIEDZIAŁEK:** dyskusja o tezach na zbliżające się Plenum KW. Zgłaszam potrzebę obszerniejszego wyjaśnienia stosunku partii do nowych związków zawodowych oraz rozpatrzenia wszystkich zarzutów personalnych. Podpieram się cytatem z

baiek. Coś się od nas należy małemu ezowiekowi. A w księgarniach — pusto. Mój dawny polonista jest za. Pożyczymy więc od znajomych stare książki i od tego numeru spróbujemy w „Dunaju” dawać co tydzień prezent maluchom. Poczytaj Mamu swym pociechom!

Wieczorem w studio telewizyjnym opowiadam o „Dunaju”, a red. Artur Bober zwraca mi uwagę, że w Sidznie są jeszcze domy, do których nie dotarła elektryfikacja. Spróbujemy niebawem odwiedzić tę wioskę na kresach województwa.

**PIĄTEK:** spieszymy się z wieczornego biegania nad rzeką na dziennik telewizyjny: będzie ważna informacja o „Solidarności”. Oklaski w sądzie po stwierdzeniu, że rejestracja Związku

## Listy do redakcji

### DLA KOGO WĘGIEL?

Znowu zbliża się zima i znowu z obawą myślę o tym, czym ogrzejemy swój dom, na czym będą gotować dla rodziny i dla inwentarza? Zwłaszcza słyszy się przecież o ograniczeniach w dostawach węgla.

Zebym chociaż mogła być pewna, że dostanę przynajmniej tyle, ile mi się z wyluczeń i tabelki należy! Doświadczenie ubiegłego roku nie nastraja mnie optymistycznie. Powiem prosto: czy pomyślano o tym, by skończyć z praktyką „nieumiejscowionej” sprzedaży węgla na talony górnicze?

Dotychczas na takie talony można było kupować węgiel w dowolnym składzie opałowym w całym kraju. Stało się więc tak, że choć skład opałowy w Szawnicach otrzymał pełną pulę na mieszkańców naszego miasta, to nie wszyscy swój węgiel dostali. Część mieszkańców, obrótniejszych, mających stałych gości — górników lub rodziny na Śląsku, dostawała takie talony i wybierała na nie dodatkowy dla siebie, a w rzeczywistości „cudzy” (na przykład mój) węgiel.

Myślę, że władze powinny i tę sprawę rozpatrzyć, żeby skończyć z praktyką krzywdzącą dla wielu ludzi.

A. M.  
Szawnicza

### „OBIEKTYWNE TRUDNOŚCI” — CZY ZŁA ORGANIZACJA?

Jestem jednym z wielu pasażerów, k rzysztających z usług WPK Nowy Sącz, zmuszonych przez los (czy raczej przez niewłaściwą organizację pracy tego przedsiębiorstwa) do regularnego... dopłacania do biletu miesięcznego. Kwota dopłaty wynosi około 100 złotych miesięcznie (tj. 200% ceny znaczka biletowego), a wydaję ją na tak-sówki.

Wyjaśnię bliżej: mieszkam przy ul. Kraszewskiego i dojeżdżam do pracy do dworca PKP linią „27” z przystanku przy ul. Lwowskiej tuż za mostem na Kamienicy oddalonego od mego domu o 50 metrów. Niestety, dogodne to ustytuowanie przystanku „wynagradza” mnie i innym pasażerom nasza sądec-

ka WPK w ten sposób, że parę razy w miesiącu kurs autobusu o 6.35 istnieje tylko na rozkładzie jazdy.

Czekamy cierpliwie dziesięć minut (czasem autobus przyjeżdża z opóźnieniem), po czym pędzimy do Rynku, czyli do najbliższego przystanku, by... spóźnić się w efekcie do pracy.

Teraz więc, gdy autobus nie pojawia się do 6.45, nie liczę już na WPK, tylko od razu spieszę do taksówki, za „jedne” 25 złotych zapewniając sobie punktualne przybycie do pracy.

Ktoś powie mi: na twoim przystanku zatrzymuje się również „14”, także jadąca do dworca. Prawda. Nie korzystam jednak z niej, bo jest bardzo zatłoczona, a ja wożę małe dziecko. Również ze względu na dziecko nie mogę wychodzić z domu na autobus o kwadrans wcześniej.

Oczywiście interweniowałem w dyrekcji WPK; otrzymałem odpowiedź, że brak tabory, opon i innych części zamiennych. Nie mam powodu, by nie wierzyć Panu Dyrektorowi WPK, lecz jest jedno „ale”: na przystanku moim zatrzymuje się również autobus WPK — „przewóz zamknięty”. Niedokrotnie jest to nowy „jelcz-berliet”, wiozący załadowe 10—15 osób, podczas gdy normalną linię „27” obsługują o wiele mniej pojemne „autosany”?

I to właśnie dziwi mnie najbardziej: dlaczego WPK, przy swych brakach taborowych, wypożycza czy też wynajmuje autobusy różnym przedsiębiorstwom? A jeśli już praktykuje się takie wypożyczenie, to rozsądniej chyba byłoby skierować do „przewozu zamkniętego” mniejszy od „jelcza-berlieta” „autosan”?

JÓZEF JENDRUSIK  
Nowy Sącz

### „POZDROWIENIE Z KRYNICY”

W nawiązaniu do artykułu A. Kroha w nr-ze 1 „Dunajca” — Zarząd Okręgu FWP w Krynicy uważa za stosowne udzielić pewnych wyjaśnień, dotyczących zagospodarowania Parku Słotwińskiego. Z racji swej roli FWP od dawna był zainteresowany zarówno odrestaurowaniem pawilonu jak i w ogóle zagospodarowaniem Parku Słotwińskiego, łącznie z odnową drzewostanu. Tylko zdziwienie może więc budzić fakt, że mimo naszych propozycji w sprawie wspomnianego parku dowiadujemy się z artykułu, że takich pro-

pozycji ze strony instytucji państwowych, i przedsiębiorstw turystycznych nie było.

Co więcej — dowiadujemy się również, że zabytek po remoncie ma — czy też miał — służyć tzw. małej gastronomii. Przecież dano nam pracownikom ZO FWP — do zrozumienia, że urządzając ewentualnie stylową kawiarnię we wspomnianym pawilonie, zakładamy spokój okolicznym właścicielom willi i domków jednorodzinnych (których, nb. praktycznie w pobliżu nie ma).

Zamierzenia nasze słyły bardzo daleko i zmierzały do generalnego zagospodarowania Parku Słotwińskiego, przywrócenia mu dawnej roli, a nawet rozszerzenia jego funkcji. Starania nasze — jak już wspomnieliśmy — speliły na niczym po kilku odmownych odpowiedziach. Wystąpiłiśmy więc pismennie do naczelnika miasta i gminy Krynica mgr inż. Norberta Poślednika o wyrażenie zgody na zagospodarowanie parku, powiadającą o tym również, nieobowiązkowo, sekretarza KM-G PZPR Juliana Kietlińskiego. Po dziś dzień nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi...

18 października dowiadujemy się z „Dunajca”, że zabytkowy pawilon będzie służył tzw. małej gastronomii, że wydzierżawiła go osoba prywatna... Pracownicy ZO FWP, zainteresowani sprawą, mają więc prawo zadać pytanie — jak to było naprawdę? A nadto — w dalszym ciągu podtrzymujemy naszą propozycję przejęcia i zagospodarowania Parku Słotwińskiego.

Dyrektor Okręgu FWP  
mgr ALEKSANDER ŻABIŃSKI



— Nie życzę nikomu niczego złego, ale też nie lubię, gdy się komuś wie-dzie bez żadnego powodu.

„Alchemik”



### DLACZEGO W LASKOWEJ?

W niekończącej się fali gorących dyskusji w naszych zakładach pracy — niebagatelną rolę odgrywają wnioski dotyczące poprawy warunków bezpieczeństwa i higieny pracy. Wśród nich — choć może w hierarchii zaniedbań i potrzeb nie najważniejsze — powszechne żądanie poprawy zaopatrzenia w odzież roboczą i ochronną.

W rzeczywistości niezwykle trudnym jest sprostać tym słusznym żądaniom, gdyż brak wielu rodzajów tej odzieży: obuwia, rękawic itp.

W naszym województwie mamy do czynienia z jeszcze jednym i nie zrozumiałym utrudnieniem: jedyną tego rodzaju placówką prowadzącą tak zwaną — brydoko — sprzedaż pozarynkową czyli dla zakładów pracy znajduje się w Laskowej, kilkanaście kilometrów za Limanową, a prowadzi ją tamtejsza Gmina Spółdzielcza „Samopomoc Chłopska”.

Dlaczego w Laskowej? Sklep taki powinien się znajdować jak najbliżej największych zakładów pracy i skupisk pracowniczych, a więc w Nowym Sączu, Gorlicach, Nowym Targu, Zakopanem, a nie w dalekiej Laskowej. Najdogodniejsze dla wszystkich zainteresowanych byłoby prowadzenie tej sprzedaży w Nowym Sączu.

Zaopatrzeniowcy z zakładów nowosądeckich, a pracuje w nich ponad 36 tysięcy ludzi, mieliby sklep na miejscu. Zakłady z Gorlic, Nowego Targu, Zakopanego też nie tylko miałyby bliżej, ale — powiązane licznymi więziami z Nowym Sączem — mogłyby zaopatrywać się niejako „przy okazji”.

Nie stać nas na niepotrzebne — i jakże często bezowocne — „wy-cieczki” do Laskowej.

ZYGMUNT BŁASZAK

W Olchawie, niewielkiej wsi podbocheńskiej, nikt się nie przejął zamachem na następcę austriackiego tronu, Ferdynanda; prawdę mówiąc, mało kto o tym w ogóle słyszał, jak i o samym arcyksięciu. Ale już wkrótce wojna przyszła i tutaj. Front austriacko-rosyjski przetrząsał się raz na zachód, to znowu na wschód, napływali uciekinierzy. Nawet w domu Dudków zamieszkała rosyjska rodzina. Gdy zaś w grudniu 1914 roku Rosjanie ci ewakuowali się do swej ojczyzny, zabrali ze sobą córkę Dudków.

Czternastoletniemu Józkowi zapachniała wielka przygoda: wbrew woli ojca pogonił za siostrą. Na przełaj, przez góry, a za nim brat, by na ojcowy rozkaz zawrócić chłopca. Machali więc z dala ku sobie, aż naraz Józek ujrzał, że brata otaczają rosyjscy żołnierze. Później się dowiedział, iż aresztowali go pod zarzutem... dawania znaków austriackiej artylerii. Nie pomogły wyjaśnienia chłopców ani ojca — zabrane wszystkich trzech ze zdemolowanego domu, postawiono je od sądem polowym. Wyrok brzmiał krótko: śmierć!

Uratował ich alarm. Poszli potem konwojem aż do Tarnowa, i dalej — do Jasła. Józek kużył się z trudem, bo jeden z żołnierzy zranił go w nogę, gdy chłopak chciał odejść za swoją potrzebą. W Jasle pewien strażnik ulitował się nad Dudkami, zniszczył protokół sądu, odwracając wiszącą nad nimi śmierć.

Ojcu coraz bardziej dokuczał reumatyzm, więc w Rzeszowie sami konwojenci kazali mu siąść na wóz. Józkowi razem z nim. Tylko brata pogнали dalej piechotą; zagubili się wówczas na drugie lata.

Lwów, Brody, Kijów... Tu dopiero poznał Józek całą gorączkę niewoli, bezsilności, rozpacz. Przez osiem miesięcy byli więzieni w piwnicach, aż ojciec tak ciężko zachorował, że zabrano go do szpitala. Więcej go Józek nie zobaczył. Do dziś nawet nie wie, kiedy ma zapalić wspominkowe świeczki za dusze ojca...

Zobojętnia! Sybir? Śmierć? — Cóż za różnica... wcześniej czy później... Instynkt samozachowawczy przycichł w otępieniu.

Kto wie, co by się dalej z młodym Dudkiem stało, gdyby nie pewien warszawiak — „polityczny”, wzięty za zdeptanie portretu cara. Właśnie w tego grupie znalazł się Józek po przewiezieniu do Donbasu. Dwa zaledwie tygodnie razem harowali, kiedy strażnicy pobili warszawiaka za odmowę pracy od świtu. To przepełniło miarę ich wytrzymałości. „Lepiej zginąć wolnymi, niż tu szczeznąć” — zdecydowali. Uciekli w siedmiu. Błąkali się po okolicy, nie znając języka, głodni, aż tory doprowadziły ich ku jakimś kopalni. Tam ukrył ich inżynier-Polak, pozornie uwierzywszy, że idą z Galicji, w ucieczce przed wojną.

Józek bał się roboty w kopalni! Tej ciemnicy, tych zwalów ziemi nad głowami! Ale w końcu przyzwyczaił się, nie zauważył już przepływu miesięcy, lat. Nie pamiętał o wojnie, z radką nawet wspominał ojca, brata. Trudne życie nie pozwalało rozczulić się nad innymi.

Aż 19 lutego 1917 roku, gdy wyjechali po szychybie na górę, zdumieni usłyszeli od strony pobliskiego miasteczka, Chodzonówki, okrzyki i śpiewy. Pospieszyli na rynek. „Co to?” — pytali. „Swoboda” — odpowiedziałono — „Reteoelucja!”

Jakis człowiek — mówili o nim: Iwan Iwanowicz — wołał o tym, że robotnicy nie dadzą się pognebić, że nie oddadzą rewolucji w ręce biurokracji. Józek pierwszy raz usłyszał wtedy imię: Lenin. Może i nie bardzo rozumiał wszystko ale dał się porwać zarówno słow Iwana Iwanowicza.

A na drugi dzień przyjechał wagon karabinów. „Trzeba bronić rewolucji!” Wszyscy robotnicy brali, to i Józek wziął. Mimo swych siedemnastu lat był już dojrzałym człowiekiem. Uwierzył Iwanowi Iwanowiczowi, który obiał nad nimi przywództwo, bo jakże było nie wierzyć mądrym i szczerym słowom o potrzebie obrony robotniczej sprawy?

Nie popasali długo w Chodzonówce biurokracji. Uzbrowieni górnicy wyparli ich po dwóch dniach, dwustu-osobową siłą przemieniając miasteczko z „białego” w „czerwone”.

Dwa tygodnie ćwiczeń wojskowych długi im nieco obcyca z bronią. Józek, którego świadomość dojrzała szybko i gwałtownie jak zaczyn w matczynej dzieży, przykładał się do tych ćwiczeń, bo czuł w sobie narastającą potrzebę zemsty na carskiej, biurokracji armii za swą poniewierkę, za utratę rodziny, za niewiadomą śmierć ojca.

Nad Dońcem denikinowcy stanęli frontem. Oddział Czerwonej Gwardii, w którym był Józek, więcej jeszcze

wał wypoczynek. Nie długo jednak cieszyli się tą nadzieją. Poderwał ich nowy alarm. Poszli — wprost na karabiny denikinowców. Odegnali białych, okopali się, i zaraz — znowu do tyłu, znowu pod Charków. W jakiejś wiosce dopadły ich denikinowskie samoloty. Zrzuciły bomby.

Dopiero w szpitalu w Orle odzyskał Józef przytomność. Miał teraz czas myśleć, miał czas dowiedzieć się o

Wręszcie dostał kurzej ślepoty. Gdy więc w lutym 1918 roku stanął w Rostowie przed komisją wojskową, orzeczenie było jednoznaczne: całkowicie niezdolny do dalszej służby.

Wrócił znowu do Donbasu, do kopalni. A „na drugą zmianę” służył w milicji. Już teraz nie na ślepo, jak w 1917 roku w Chodzonówce, ale świadomie wybrał sobie rolę strażnika sprawy, której poświęcił tyle miesięcy swego życia — i tyle zdrowia.

W 1921 roku dotarła do Józefa wieść, że mógłby wrócić do Polski. Nie zastanawiał się nad decyzją. Serce ciągnęło do ojczyzny, gdzie był rodzinny dom, gdzie był najwspanialszy w świecie chleb. Okazało się jednak, że niejedną musiał jeszcze pokonać przeszkodę: nie miał dokumentów, nie miał jak udowodnić swej polskości.

Wręszcie przekroczył granicę.

Jesień była; pogoda piękna, pamięta jak dziś, więc wymyślił sobie, że przeczeką w lesie do wieczora i dopiero wtedy zapuka, prosząc o nocleg. Jakże jednak mogli wytrzymać tyle godzin czekania? Stanął w progu, popatrzył: siostra, jakiś mężczyzna, dziecko. Zagała po polsku z rosyjską, omi zdziwieni widokiem obcego niepewnie spoglądali po sobie. No tak, opuścił te strony jako czternastoletni, dziecko jeszcze, a wracał dorosłym, starym mężczyzną.

Zmieniło się teraz życie Józefa Dudka. Może — gdyby osiadł w mieście, pracował w fabryce, poszedłby dalej drogą rewolucjonisty. Ale polska wieś dwudziestolecia międzywojennego nie stoczyła takim wyborom. Potem ożenił się z Matyldą, córką sąsiadki, rozdzielił się z dziećmi. Próbował zarabiać na rodzinę sezonową pracą na budowach, szewstwem, wręszcie na trzy lata wyjechał do kopalni do Francji. Gdy wrócił do domu, znowu z trudem wiał koniec z końcem. Przycichł. A przecieł, gdy zaczynało się dziać coś wielkiego: strajk chłopski 1937 roku, pochody pierwszomajowe, starcia z policją w Bochni i Wiśniczu — Józef znowu stawał się tamtym Józkiem z Rosji, czerwonoogwardzista, żołnierzem rewolucji. Aż dziś, że uniknął aresztowań, wyroków...

Znowu wojna przyszła do Olchawy. Druga światowa. Józef, wspólnie z dwoma kuzynami: strażnikiem więzienia w Wiśniczu i pracownikiem poczty — organizował paczki dla więźniów. Niejedną zawdzięcza im przetrzymaniu.

W tymczasem aresztowano brata, a i Józef był poszukiwany przez gestapo. Musiał uciekać, ukrywał się. Jakos ocalał, przetrwał wojnę.

W 1946 roku zaczął pracować w fabryce obuwi w Oleśnicy. Kiedy zaś ruszyły Nowotararskie Zakłady Przemysłu Skórzanego „Podhale”, w 1955, Józef osiedlił się na stałe w Nowym Targu. Mieszka tam do dziś. Był brakiem wyrobów gotowych, potem starszym brakiem sekcji reklamacji. Tak doczekał emerytury.

Kto wiedział, że ten skromny, życzliwy wszystkim, starszy pan, dobry pracownik, dobry mąż i ojciec, ma w historii swego życia również kartę uczestnictwa w Wielkiej Rewolucji Październikowej? Najpierw — czas przedwojenny nie sprzyjał chwaleniu się tym, później — uznał, że nie czas już odgrzebywać starych spraw. I gdyby nie to, że zabrakło mu czterech lat do wysługi emerytalnej, nikt może nadal nie dowiedziałby się o tamtych wydarzeniach z życia Józefa Dudka. Dopiero kiedy zwrócił się do Komitetu Centralnego Partii z prośbą o wliczenie mu służby w Czerwonej Armii do lat pracy — rozpadła się burza: wezwania do Warszawy, ustalenia przez ambasadę radziecką, oznaczenia: „Zasłużonego Działacza Ruchu Robotniczego”, medali radzieckich „Za Odwagę”, Medal „XXX-lecia PRL”, Komandoria Orderu Polonia Restituta. Delegacje, wywiady, artykuły.

Spoglądając wstecz na swe życie, Józef Dudek, dziwi się, ile człowiek może znieść: więzienia, wojny, ocieranie się o śmierć... ile musi przeżyć, by zrozumieć i ocenić swoją cząstkę udziału w wielkiej, dziejącej się historii.

W Piotrogradzie był Lenin, w Piotrogradzie był szlak Rewolucji, stamtąd szły w całą Rosję — w cały świat — myśli i zarzewie wielkiego pożaru, jaki ogarnął ziemski glob. Ale Rewolucja nigdy by się nie mogła dokonać, gdyby nie tacy Dudkowie: skromni, szarzy szeregowcy wielkiej sprawy robotniczej.

Elżbie'a Glinka

# DŁUGI ŻYWOT JÓZEFA DUDKA



Grupa członków PPS-Lewica, uczestników Rewolucji Październikowej.

Fot. CAF — Archiwum

miał zapachu niż wykszolenia. Więc kiedy przyszło walczyć, sprzeczne rozkazy sprawiły, że pięćdziesięciu osmiu chłopca pozostało w lesie, gdy reszta oddziału się wycofała. Most był zerwany, Kozacy po drugim brzegu Dońca jeździli jak na urągowsko. Zdezerwowali się czerwoni, płuńeli serią z karabinu maszynowego. Celnie: same konie potem biegaly. Ale już następni Kozacy parli przed drugi most. Kiós krzyknął: „Ratujcie się, jak kto może!”

Skrąj łąki i lasu dawał nadzieję ocalenia — ale jak tam dopełnzać? Jeden z czerwonoogwardzistów wpadł do bagna; nawet nie próbował go ratować. Nie otrząskani z ogniem, z walką, padali gęsto pod gorącą kosa śmierci. Tylko jedenastu odnalazło się w gąszczu lasu. Gdzie reszta?

W sąsiedniej wiosce dogonił oddział armii Woroszyłowa. Zostali z nim. Dopiero pod Charkowem, gdzie dotarli w ciągłych potyczkach, spotkali swoich.

Gorąco było pod Charkowem. Przez dwa tygodnie szli w okrążeniu od wsi do wsi. Jeść nie było co, woda — tylko w rowach. Z tyłu, z przodu, z boków — front.

Zwalili się wręszcie w jakiejś wiosce, pozejmowali buty. Spać! A za godzinę — alarm! Amunicji ani na lekarstwo, ludzie wyczerpani do ostatnich granic. Walcz teraz. Komendant w kalesonach wskoczył na konia, poprowadził. Wybili się z okrążenia, i jeszcze zdobyli działa, karabiny, amunicję.

Dotarli do Bohoduchowa, małego miasteczka, które zdawało się obiecy-

wielkich wydarzeniach, jakie przemieniały carski Petersburg w centrum bolszewickiej rewolucji. Józek dotychczas po prostu walczył — za lepsze bytowanie robotników, za krzywdy swej rodziny, za swój strach przed przemocą, wręszcie — za ocalenie własnej głowy z szalejącej wokół burzy. Takich jak on było wielu. Tacy jak on stanowili przeważającą większość żołnierzy Czerwonej Gwardii. Prości, zwyczajni, walczący o bliskie sobie sprawy, bo zaufali różnym Iwanom Iwanowiczom, w których słowach wyczuili prawdę niosącą nadzieję. Nie było w tych żołnierzach za wiele rozeznania w wielkości sprawy, o jaką walczyli, nie wiedzieli, jaka cząstka „walki ich barkom przypada — ale walczyli. Stanowili ogromną siłę. Siłę, bez której nigdy by się nie dokonało owo wielkie, zapoczątkowane wystrzałem z „Aurory”.

Józef Dudek, chory i wycieńczony, dochodził tej wiedzy ze zdumieniem, z niedowierzaniem — z dumą. W Orle panował głód. Gdy więc tylko poczuł się Józek lepiej, wyruszył z batalionem takich jak on ozbrojonych ku frontowi. W drodze zwałił go z nog tyfus. Dwa miesiące przeleżał, a doktor już kiwał nad nim głową. „41,7° gorączka? Chyba ten Polak nie wyżyje?”

Młody organizm przetrzymał. Józek wykaraskał się z choroby, a potem stanął wobec problemu: co robić? Miał urlop zdrowotny, ale za co żyć? Wyrzębał z zakamarków pamięci okrucy wiedzy o szewstwie i zaczął chódzić od wsi do wsi, naprawiając buty. Niewiele zarobił. Zamiast odyskiwać siły, stał coraz bardziej,

## KWADRATOWE KOŁA



**I** dąc tropem chłopskiej sprawy zaopatrzenia w węgiel, dotarłem do zarządu Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych i kierownictwa Spółdzielni Transportu Wiejskiego. Rozmawialiśmy długo. To, co w tej rozmowie do-

tyczyło spraw węgla, przekazałem już w ubiegłym tygodniu. Ale zawsze tak się zdarza, że im głębiej w las, tym więcej drzew: i tym razem więc okazało się, że sprawa węgla to tylko mały wycinek przygnębiającej sytuacji, w

której muszą manewrować coraz bardziej drętwiejącymi rękami ludzie, odpowiedzialni za podstawowe sprawy zaopatrzenia regionu w żywność, materiały i środki do produkcji rolnej.

Jeśli transport nie rozłożył się nam jeszcze całkownie, to w każdym razie ledwie dycha w sieci zarządzeń, nakazów i apodyktycznych decyzji centralnych. W sieci która musiała spowodować i spowodowała anarchię dyktaturę producentów i bezwład na kolei. Mógłbym oddane mi fakty ująć w formie bardziej ogólnej. Przedstawić podsumowanie. Wyciągnąć wnioski. Wziąć do ręki tak zwany bicz krytyki. Ale myślę, że lepiej zrobić coś innego: przekazać to wszystko tak, jak usłyszałem. Myślę, że będzie to pożyteczniejsze. Ponieważ najważniejszą dziś sprawą dla nas wszystkich jest dowiedzieć się prawdy — wyrobić sobie własne zdanie. Każdy powinien być w pełni świadom, na czym stoimy i co powinniśmy zrobić aby ruszyć do przodu. Każdy powinien też zrozumieć, jaki jest dzisiejszy nastrój naszych myśli. Aby go oddać, Antoni Kroh przytacza w „Prosto od krowy” plotki: takie jest prawo ostatniej strony. Na tej stronie bda fakty.

● Aby sprawnie rozdzielać dostawy kolejowe, potrzebne są w każdym województwie bazy przeładunkowe. W roku 1977 premier zarządził, że ma we wszystkich powstać przynajmniej po jednej w ciągu kilku miesięcy. Czysty woluntaryzm: taka baza to inwestycja za 200—300 milionów złotych. Nie da się jej wybudować bez środków i w takim tempie. Do realizacji potrzebna byłaby uchwała Rady Ministrów; bo skąd wziąć fundusze?

Tym niemniej bazy są naprawdę konieczne. Gdyby w województwie istniały cztery wielkie składy materiałów budowlanych i nawozów — w Nowym Targu, Limanowej, Nowym Sączu i Gorlicach — wtedy dałoby się rozważać dostarczanie tych materiałów nawet bezpośrednio do rolnika. Trzeba więc programować organizację takich baz. Ale rzeczowo. Nie tak, jak uczynił to w roku 1975 Minister Komunikacji: wiedząc, że właśnie trwa remont torów w Nowym Targu i stacją może przyjmować tylko wagony piętnastotonowe — wyznaczył właśnie Nowy Targ na stację przeładunkową...

● Nielogiczności w dystrybucji samochodów dla przedsiębiorstw na szczeblu krajowym doszły do tego, że Zakład Weterynaryjny otrzymuje przydzielone ciężarówki pięciotonowe do celów, dla których wystarczyłyby „Żuk”

bądź „Fiat” pick-up — natomiast za mało tych wozów ma STW, która nie potrafi już rozładować na czas czterdziestowagonowego transportu kolejowego na trasie stacja PKP — składy (a cóż dopiero mówić o ewentualnym dowożeniu materiałów od razu do rolników!) W Nowym Sączu na szczęście nikomu ręce nie opadły: STW i Zakład Weterynaryjny wymieniły samochody. Czy wszędzie tak się stało? Bardzo wątpliwe.

● Jedną z konsekwencji poprzedniej nielogiczności oraz niedostatków w STW zarówno samochodów, jak akumulatorów i opon do ciężarówek, które Spółdzielnia posiada: kary za przetrzymywanie wagonów. Przy tak zwanych marszrutach bezpośrednich wagony muszą być rozładowane na stacji w ciągu 24 godzin. Przy marszrutach pośrednich czas ten wynosi tylko 8 bądź 6 godzin. To, co jest niemożliwe ze względów technicznych, uderza po kieszeni pracowników: dostają mniejsze premie, choć nie od ich wsiółki zależy, że rozładować na czas się po prostu nie da. Był tydzień, że zakorkowanie na rampie spowodowało konieczność zapłacenia „osiowego” — kary za zwłokę w odesianiu wagonów — w wysokości 700 000 złotych!

● Gdybyż przynajmniej przepisy usprawniały tę pracę... Tymczasem, przykładowo, wagon owsa rozładowuje się z jednego, a wagon sruży z innego toru ogólnego szuflami w padającym deszczu — ponieważ podstawił każdego z tych wagonów na bocznice, zgodnie z zarządzeniem Ministra Komunikacji, kosztuje dodatkowo 3000 złotych.

● Jeśli nawet transporty będą na czas zapowiadane (a nie są!), to aby można je sprawiedliwie rozdzielać, musi zostać cofnięte zarządzanie o karach za przetrzymywanie towarów. Aktualnie dostawa artykułu, którego brakuje na rynku, nie może być zatrzymana dla odbiorców, którym się słusznie należy; wygrywa ten, kto szybszy, kto ma większe możliwości.

● Dalszą konsekwencją braku zawiadomień i wyczekiwania na transporty są olbrzymie komplikacje placowe w STW. Dlaczego? Bo ekipom, godzinami wypatrującym nadszcicia pociągu, trzeba przecież płacić wynagrodzenie; z kolei przy spiętrzeniu prac musi się dorwyczo angażować do rozładunku dodatkowych ludzi — i to nie za stawki według cennika, lecz za znacznie wyższe. Nie wspominając już o konfliktach pomiędzy „stałymi” a „okazyjnymi” trzeba podkreślić przynajmniej to, że sytuacja wyczerpuje fundusz płac; gdyby dostawy szły sy-

Przed dwoma tygodniami pisaliśmy w „DUNAJCU”: może byłoby wskazane, aby zespół rozpatrujący obywatelskie postulaty rozszerzył o przedstawicieli robotniczych załóg? Wyraziliśmy nie tylko nasze odczucia, skoro jeszcze z nami pierwszy numer tygodnika ukazał się w kioskach — zadzwonił redakcyjny telefon. Marian Białoskórski, ten sam, który podczas konferencji prasowej wyrażał troskę o to, by zespół dalszego usprawnienia pracy nad realizacją postulatów, a także usprawnienia informacji o działaniach zespołu Edwarda Ligęzy.

**G**rono radnych, działaczy społecznych i pracowników administracji wojewódzkiej: Marian Białoskórski, Stanisław Binda, Edward Góra, Marian Popieła, Bogdan Stanny, Zygmunt Wieczorek — z inicjatywy Henryka Kosteckiego zebrało się, by radzić nad formami dalszego usprawnienia pracy nad realizacją postulatów, a także usprawnienia informacji o działaniach zespołu Edwarda Ligęzy.

Trudno się dziwić robotniczym załogom, że pragną jak najszybciej usłyszeć o losach spraw, z jakimi występowały do województwa — a jednocześnie trzeba zrozumieć zespół, który nie chce i nie może pochoinnie rozstrzygać w sprawach częstokroć nawet bardzo zawiakanych, trudnych. Czy udzielać odpowiedzi półowiecznych, by tylko jak najszybciej odpowiedzieć? Nie zadowoli to przecież nikogo. A jeśli nie, jeśli najpierw wzeszronie rzec rozpatrywać, to jak uspokoić ludzką niedzielniość? Czy sama administracja zdoła rozstrzygnąć wszystkie problemy bez konsultacji

z społeczeństwem? A jeśli nie, to kto ma się podjąć trudu dyskusowania? Czy ci, którzy i tak muszą dziś poświęcać długie godziny na segregowanie postulatów?

Z tych wszystkich wątpliwości, z tych trudności zrodziła się myśl powołania społecznego zespołu radnych, działaczy, przedstawicieli robotniczych załóg — by wsparł administrację w jej pracy, a zarazem by we wszystkich przypadkach, gdy postulaty sformułowane były niejasno lub gdy dziś nie sposób je w pełni załatwić — odwoływał się do załóg, do środowisk, w rzeczowych dyskusjach konfrontując racje obu stron, ustalając sposoby porozumienia.

Można zapytać: czy powinien być to drugi, obok już działającego, zespół, czy też może (jak sugerowaliśmy) należałoby o tych społecznych działaczy dokooptować do zespołu Edwarda Ligęzy? I jedno, i drugie rozwiązanie było brane pod uwagę. Przeważał argument, że nie należy zbytnio rozbudowywać tej grupy, która musi, siłą rzeczy, nastawiać się na działania przede wszystkim administracyjne. Ze korzystniejszego będzie powołanie ciała rzeczywiste społeczne, działającego

## POSTULATY

jako jeden z organów Wojewódzkiej Rady Narodowej i z jej ramienia sprawującego funkcję kontrolno-koordynującą, a zarazem stanowiącego pomost między administracją a społeczeństwem. Wszak według zapisu Konstytucji PRL — to właśnie WRN jest najwyższym organem władzy terenowej.

Powiedzmy wyraźnie: nie chodzi przy tym o tworzenie żadnych nowych struktur, a o szersze niż dotychczas wykorzystanie określonych ustawowo możliwości i uprawnień rad narodowych.

Są to jednak sprawy formalne. Najważniejszy zaś jest dobór ludzi, którzy stanowiąliby rzeczywiste autentyczną reprezentację społeczną, którzy cieszyłoby się autentycznym zaufaniem i aurytelem w swoich środowiskach. Nie może to być w żadnym razie dobór na zasadzie „klucza”, mechanizmu. Nie miałyby, na przykład, sensu stwierdzenie: „w skład zespołu winni wejść przedstawiciele Rady Zakładowej”, skoro rzeczywistość jest dziś taka, że w wielu zakładach pracy nawet i dziesięćdziesiąt procent pracowników zrzesza się już w nowych związkach i one stanowią rzeczniczką sprawczą załóg. Inny problem: liczebność nowo powołowanego zespołu. Szeroki aktywny społeczny czy raczej grono niezbyt liczne (dziesięć-piętnaście osób), do którego dokooptowywano by „czasowych” członków z określonych środowisk — tych, których problemy są w danej chwili rozważane? Przeważała ta druga koncepcja. Jest

przecież wiele spraw, które trzeba szeroko przekonsultować, aby zespół administracyjny mógł sformułować odpowiedź. Są też sprawy, na które odpowiedź musi być odmowna — a nie wolno jej udzielać mechanicznie. Kogoś coś boli, niepokoi, komus coś dokuca — jeśli nie da się mu pomóc, niechże przynajmniej zrozumie, dlaczego nie jest to możliwe. A kto lepiej zdoła to wytłumaczyć, niż ludzie z najbliższego środowiska, a zarazem tacy, którym się wierzy, ufa? Słowem — ludzie o autentycznym społecznym aurytelu?

Zasadniczym zadaniem takiego zespołu winno być spowodowanie, by społeczne nadzieje i oczekiwania w sprawie realizacji postulatów były spełnione; by nawet wówczas, gdy ta realizacja nie jest możliwa, zdołano w sposób wiarygodny to uzasadnić, przekonać społeczeństwo.

W sprawach rozstrzygniętych przez zakłady pracy jest to proste — tam załogi znają swój aktywny. Trzeba więc, aby i na szczeblu wojewódzkim działali ludzie znani społeczeństwu i obdarzeni jego zaufaniem.

Powołanie zespołu traktujemy jako kolejne przybliżenie do samorządności społecznej. Tak je też pojmują Prezydium WRN, które na swym posiedzeniu w dniu 17 października postanowiło przedstawić projekt działania zespołu ogółowi radnych wojewódzkich na sesji WRN.

atematycznie, STW mogłaby za te same pieniądze rozładować dwukrotnie więcej transportów.

● Kulą u nogi dla Sądeczyny (i przypuszczam, że nie tylko dla niej) jest zarządzenie Ministra Komunikacji z 5 grudnia 1977 o wielkości jednorazowych dostaw niektórych przesyłek — minimum 200 ton. Kulą u nogi, bo przykładowo GS Bobowa musiałaby taki transport nawozów dostawać tylko raz w roku. Wobec tego łączy się zamówienia z kilku gminnych spółdzielni, po czym z punktu, na którym taka łączna dostawa zostaje odebrana, rozwodzi się materiał do kilku miejscowości — tym razem już na samochodach. Tylko tą drogą poszczególne GS-y mogą mieć dostawę częściej, powiedzmy — raz na kwartał. Ile to kosztuje dodatkowo?

Osobnym kwiatkiem na tej łące jest zjawisko, że trzy czwarte zamówionych przesyłek i tak przyjeżdża w pojedynczych wagonach. Przemysł weale więc nie realizuje wspomnianego zarządzenia w praktyce, ale za to nie przyniema żadnego zamówienia poniżej dwustu ton.

Tak właśnie rodzi się dyktatura dostawców. Wtedy naszego przemysłu dostarczą wobec braków na rynku taki towar i w taki sposób, jaki im wygodny. Bo ludzie i tak wezmą. Zdarzało się nawet, że gdy chciano reklamować transport węgla, dochodziło w składach opałowych do zajść po rzuceniu podjeźżdzenia, że dostawa jest zatrzymana, wana dla kumotrów. Podarto ubranie na wieceprzesie... Zdarzało się również tak, że cukier trzeba było przywieźć samochodami z Lubelskiego, a mąkę z Leszna — bo inaczej nie byłoby w ogóle nic. Zdarza się, i to często, wiele innych skandalicznych przypadków:

● Pustaki są ładowane przez wytwórcę do wagonów bezdrzwiowych Eaos, których burty mają metr osiemdziesiąt. Są to wagony przeznaczone do przewozu rudy czy węgla i do rozładowywania na wywrotnicach. Proszę sobie wyobrazić wysiłek rozładowania takiego wagonu ręcznie. Zabrónił tego, oczywiście, Inspektor Pracy. Ale co począć, gdy pustaki przyjadą w takim właśnie ślepym pudle?

● Cegły nie pojawiają się wprawdzie w wagonach Eaos, ale też trzeba je rozładowywać ręcznie — bo nie są paletowane, to znaczy ładowane na powierzchni transportowe, które można bezpośrednio przemieścić mechanicznie na samochody.

● Dla odmiany w wagonach krytych (zamiast otwartych, skąd można wydobyć dźwigiem) przybywają taffe szkła w opakowaniach po 900 kilogramów. W jaki sposób można je z takiego wagonu wytaszczyć? Jakim wysiłkiem? I jak bardzo muszą zostać przy tym uszkodzone?

● Również w wagonach krytych pojawiają się wapno i nawozy takie, jak superfosfat granulowany. Alternatywa: albo nie dostać tych materiałów — albo je rozładować. Tymczasem rozładunku z takich wagonów zabrania Inspekcja Pracy: bo pył, powstający przy szufłowaniu, jest wysoce szkodliwy dla zdrowia. Ludzie plują krwią. Już prawie nikt nie chce się podjąć takiej roboty: nie dlatego, że przepis zabrania, ale dlatego, że żadne dodatkowe wynagrodzenia nie skłania do skręcania sobie życia. Wapno czy superfosfat muszą być wożone w wagonach-pojemnikach. Co na to Ministerstwo Przemysłu Chemicznego i Ministerstwo Materiałów Budowlanych?

● Huta Katowice pakuje stal — pręty, płaskowniki, katowniki — w wiązki około dziesięciotonowe. Tymczasem posiadany sprzęt rozładowczy ma nośność 4—6 ton. Rezultat: jedną wiązkę podnoszą wspólnie dwa dźwigi. Oczywiście zagrożenie wypadkowe!

● Braki rynkowe doprowadziły również do rozszerzającej się demoralizacji i anarchii na koleji. To już nie chodzi tylko o to, że średnia prędkość wagonu na trasie od producenta do odbiorcy wynosi kilkadziesiąt metrów na godzinę (pismo w tej sprawie przez WZSR Henryk Miziany wysłał w styczniu tego roku, jak mówi do wszystkich Świętych: od wicepremiera poprzez Ministra Komunikacji do Komitetu Centralnego. Bez odpowiedzi); chodzi także o to, że na trasie ze Śląska do Nowego Sącza zmienia się nawet trzykrotnie załoga pociągu, że transporty wręcz śnią po drodze, że trzeba wysyłać do ich pilnowania konwojentów.

Czy uporządkowanie rynku rolnego to tylko właściwy rozdział środków, właściwe inwestycje, właściwe ceny — tak, aby kilo lemieusza kosztującego 240 złotych nie było droższe trzykrotnie — od kilograma „Piata”?

Przedo wszystkim powinni odpowiedzieć sobie na te podstawowe pytania ci, którzy stoją na czele zarządzania gospodarką.

Ale także powinien to rozważyć i odpowiedzieć sobie, którądy droga, każdy z nas.



## W trosce o prawidłowy rozwój Szczawnicy-Krościenka

Szczawnica-Krościenko od dawna nie mogła doczekać się planu zagospodarowania przestrzennego, bez którego nie było możliwe podejmowanie decyzji o rozwoju miasta, racjonalne gospodarowanie (i tak skąpych) środkami, wydawanie zezwoleń na budownictwo indywidualne, co rzutowało niekorzystnie nawet i na rozwój gospodarki rolnej.

Szczawnica i Krościenko od 1 stycznia 1973 r. stanowią jedną jednostkę administracyjną, składającą się z dwóch odrębnych struktur przestrzennych o funkcjach różnych, lecz wzajemnie się dopełniających. Funkcją wiodącą Szczawnicy jest lecznictwo uzdrowiskowe; Krościenka — turystyka i wypoczynek.

Ogromnie więc ważne jest dla dwumiasta to, że wreszcie ruszyła sprawa planu. Na ostatniej sesji Miejskiej Rady Narodowej został on zaopiniowany i przesłany do uchwalenia na najbliższej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Nadrzędną ideą, której podporządkowano plan, jest maksymalna ochrona środowiska, a szczególnie unikalnych wartości tego regionu Pienin z przełomem Dunajca, uzdrowiska Szczawnicy, a także zachowanie wartości kulturowych

regionu pienińskiego. Przeprowadzone wszechstronne studia do planu pozwoliły określić kształt, skalę i wielkość uzdrowiska (granicę docelową): 3000 łóżek sanatoryjnych i 12.000 mieszkańców stałych. Rozwój uzdrowiska będzie polegał na podnoszeniu standardu i porządkowaniu, wyposażaniu w usługi i zieleni przy niewielkim wzroście ilości łóżek i rozwoju mieszkalnictwa. Należy pozostawić dotychczasowy, objęty ochroną konserwatorską; historyczny kształt i charakter obu jednostek osadniczych: XIX-wiecznego Zdroju w Szczawnicy i XIV-wiecznego Krościenka.

Zakłada się rozwój miasta w ob-

rzębie terenów dotychczas zainwestowanych, bez wchodzenia na zbocza, w stronę krajobrazu chronionego.

Prawidłowy rozwój przestrzenny uwarunkowany jest rozwiązaniami komunikacyjnymi (m.in. budową drogi tranzytowej Nowy Targ-Nowy Sącz z pominięciem centrum Krościenka) lokalizacją dworca PKS oraz parkingów, a także przedłużeniem splotu Dunajcem dla odciążenia Szczawnicy. Dla wyeliminowania ruchu kołowego ze środowiska Szczawnicy projektuje się obwodnicę wzdłuż lewego brzegu Grajaarka.

Centrum Szczawnicy będzie wyspecjalizowane w obsłudze kuracjuszy, zaś stare miastow Krościenka — stanowić będzie centrum usługowe miasta i regionu. Również w Krościenku zlokalizowane zostaną nowe tereny mieszkaniowe. Za jeden z najważniejszych elementów zagospodarowania Szczawnicy-Krościenka uważamy zieleni; pragniemy, by dwumiasto stało się kompleksem zieleni parkowej, w który wtopione zostaną wszystkie pozostałe elementy zagospodarowania.

**JOZEF WITKOWSKI**  
Urząd Miejski w Szczawnicy-Krościenku

# ZALÓG

Takie są działania na szczeblu wojewódzkim. A jak wygląda to w poszczególnych zakładach pracy? Tym razem odwiedziliśmy nowosądeckie Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego.

Powołana w pierwszych dniach września komisja przyjęła około tysiąca pięciuset wniosków i postulatów, zgłoszonych przez wszystkie rady oddziałowe i komórki organizacyjne ZNTK. Po tematycznej klasyfikacji oraz weryfikacji, pozostało ostatecznie jeszcze ponad sześćset wniosków.

Wyodrębniono trzy grupy postulatów. W pierwszej znalazły się te, których załatwienie leżało w gestii zjednoczenia; w drugiej — skierowane do władz wojewódzkich, a w trzeciej — te, których załatwienie leżało w kompetencji dyrekcji ZNTK.

Najważniejsze ze wszystkich postulatów, bo już decyzją zjednoczenia z dnia 9 września bieżącego roku, został załatwiony dezzyderat niewprowadzania nowych norm pracy. Zrealizowano również postulat płacowy: do chwili obecnej zarobki w zakładzie wzrosły o ponad dwadzieścia procent funduszy płac. Kolejną sprawą był problem tzw. „jubilatów”, który znalazł ostateczne rozwiązanie w czasie wizyty w ZNTK wiceministra komunikacji Janusza Kamińskiego oraz dyrektora Zjednoczenia Zdzisława Dybińskiego. Ustalono, że — porząw-

szy od 30 sierpnia bieżącego roku — premię otrzymują pracownicy zatrudnieni w zakładzie od trzydziestu pięciu lat oraz wszyscy odchodzący na rentę lub emeryturę. W drugim kwartale przyszłego roku premie takie obejmą mężczyzn zatrudnionych od dwadziestu pięciu i kobiety — od dwadziestu lat.

Nie udzielono jeszcze konkretnej odpowiedzi w sprawie deputatów węglowych. Dawniej pracownikowi przysługiwało prawo zakupu 3,6 tony węgla. Obecnie ilość ta uległa znacznemu ograniczeniu. Jednakże w trudnej sytuacji, w jakiej obecnie znajduje się nasz przemysł węglowy, nie można raczej liczyć na pozytywne rozwiązanie tego postulatu w najbliższym czasie.

Postulaty drugiej grupy miały charakter najbardziej ogólny i dotyczyły głównie: zaopatrzenia, budownictwa mieszkaniowego oraz zmian personalnych. Nie dadzą się one załatwić „od ręki”, bo ich realizacja uwarunkowana jest ogólną sytuacją gospodarczą w Polsce.

Najbardziej obszerna, bo licząca około sześciuset postulatów, była lista spraw do realizacji wewnątrz zakładu. Około sześćdziesięciu wniosków znajduje się już w toku załatwiania, a niektóre załatwiono od razu:

— przeprowadzono wybory do rad oddziałowych, a następnie do Komitetu Założycielskiego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”;

— wydrukowano w gazecie zakładowej treści postulatów oraz odpowiedzi na nie,

— przydzielono trzem rodzinom pracowniczym mieszkania przy ulicy Borskiej, pełniące dotychczas rolę lokali hotelowych,

— zamontowano nową centralę telefoniczną,

— uruchomiono fundusz mistrzowski,

— otwarto bramę wjazdową od ulicy Nawojowskiej dla ruchu pieszego pracowników ZNTK w czasie godzin służbowych,

— zwiększono ilość ruchomych punktów sprzedaży kanapek.

Terminy realizacji pozostałych postulatów nie zostały ustalone; dotyczy to zwłaszcza około trzystu wniosków o charakterze jednostkowych.

Gazeta zakładowa „Głos ZNTK” oraz wydzielane listy na poszczególne wydziały w bieżąco informują załogę o przebiegu prac nad realizacją postulatów. Przedstawiany jest harmonogram działań i terminy prac remontowych, jakie mają być podjęte w celu poprawy warunków socjalno-bytowych załogi. Należą do nich: rozbudowa szatni, urządzenie estetycznych pomieszczeń do spożywania posiłków przez pracowników, naprawa dachów, posadzek i dróg dojazdowych.

Szczególnie trudne warunki pracy panują na Wydziale Głównym Mechanika, mieszczącego się w najstarszej części zakładów. Przewidywana jest gruntowna przebudowa tych budynków. Trzeba jednak pamiętać, że ze względu na ograniczenia inwestycyjne oraz materiałowe — tego rodzaju wnioski są najtrudniejsze do realizacji.

Wśród niewątpliwie słusznych postulatów znalazły się również bezzasadne. Znamiennym tego przykładem jest domaganie się zmniejszenia liczby pracowników administracji ZNTK. Tymczasem kontrola przeprowadzona podczas wizyty ministra wykazała, że zakład zatrudnia mniej pracowników administracyjnych niż to przewidują normy!

A jak oceniamy realizację wniosków sami postulujący?

Z rozmów przeprowadzonych z pracownikami ZNTK wynika, że najbardziej istotny w opinii załogi, postulat płacowy został zrealizowany zgodnie z oczekiwaniami. Na niektórych wydziałach, np. Wydziale Głównym Mechanika, zarobki wzrosły o trzydzieści dwa procent, podobnie wysoki jest wzrost płac pracowników kuźni.

Również jeżeli chodzi o postulaty, których rozwiązanie zależy od dyrekcji, pracownicy nie zgłaszają zastrzeżeń. Dyrekcja wywiązuje się z podanych terminów — na przykład tak jak obiecano do 15 października został naprawiony dach nad budynkiem straży pożarnej, trwa remont dachu nad kuźnią.

Z pewnością jeszcze za wcześnie na pełną ocenę realizacji postulatów załogi ZNTK. Trzeba jednak — zdając sobie sprawę z niemożliwością załatwienia pewnych spraw od razu, zwłaszcza tych narastających latami — dostrzegać to wszystko, co już zostało zrobione.

**DANUTA BINEX**

Tego dnia, kiedy wybrałem się w odwiedzinę do pani Heleny, wicherzyło od rana tłukło się po mieście. Najpierw suche liście w parku nad stawem pozamiatało. Potem dzień uciekł na zachód, czerwienią skrawek nieba splamili. Nadięgnęło mokrym wieczorem, chmurą zawisło nad dachami domostw. Na brukowym podwórku spotkałem tylko kundia; trząsł się na progu ofiwny. W tak podłą aurę ludzie odczuwają potrzebę zwierzeń. Samotność pogłębia frustrację, zła myśli przynosi. W taki czas ludzie mocniej się Kochają, a także mocniej nienawidzą. W taki czas smutni współpracują sobie, wiele wybaczą. A także cieszą się zawistną radością z cudzych utrapień.

Pani Helena na mnie czekała; małowólna, ręce złożyła na podółku. Milczy. Wzdycha.

— Sił już nie mam z nimi walczyć... — odzywa się w końcu.

— Kto panią chciał otruci? — Unika odpowiedzi na główne pytanie. — Od tego jest milicja — mówi. — Od tego jest prokurator. Owszem, domyśla się, kto jej wyspał trucizny do herbaty, ale za wcześnie na definitywne stwierdzenia. Na ostateczne wnioski. A w ogóle to było tak: Woźna na drugie śniadanie postawiła, jak zwykle, na jej biurku herbatę. Na dnie szklanki dostrzegła białe kryształki, więc nie prosiła o cukier. Domyśliła się, że herбата jest słodzona. Gdy woźna chciała wyspać łyżeczkę tegoż cukru, pani Helena upomniała: nie słodzona! Wtedy tamta odrzekła, że herбата jest bez cukru. To musiało wzbudzić podejrzenie.

— Dlaczego musiało? — Poprzedniego dnia po wypiciu kawy dostaliśmy nagłych bólesci — odpowiada rozmówczyni. — Już wtedy ktoś musiał mi wyspać do kawy jakieś świństwo.

Pani Helena jest główną księgową hurtowni; pracuje razem z nią w pokoju dwadzieścia osób. Nie jest lubiana. Nic dziwnego, że w kręgu podejrzeń znalazła się niemal cała załoga. Kierownik zlekceważył domysły. Och, skądże znowu — miał powiedzieć. — Coż też pani wygaduje! W tej sytuacji pani Helena przelała herbatę do czystej buteleczki, zalakowała korek i oddała w asyście do analizy. W bliskim sąsiedztwie jest zakład, który ma laboratorium chemiczne. Po kilku dniach otrzymała odpowiedź: owszem, w herbacie są związki arsenowe. Jest silna dawka trucizny.

Milczymy chwilę. Za oknem wicherzyło się łącznie. Deszcz siecze o szyby. Gdzieś rynda oderwana, kawał blachy chyba, skrzypi w podmuchach nawałnicy. Na schodach skomli psiaak. A ja myślę rozkojarzony. Ktoś ty, człowieku, gdzie teraz jesteś, lądaczku? Ilu was podobnych w tym mieście? Ludziki się cieszą z cudzych utrapień. Radość ludzika jest chora. Jego umysł robaczywy, chory. Cieszą się ludziki, taki robaczek, zaciera rączki chichocze, że przecież on jest sprawcą cudzych smutków. Ze od niego to zależy. A zatem on jest górą, on lepszy, mocniejszy. Ludziki kompensuje sobie lata nijakie, szarżyszną dotkniętę; zapiekła zawiśle fermentuje w nim dniem i nocą, by znaleźć ujście w takim uczynku.

— Wówczas kierownik się przestraszył — ciągnie swą opowieść kobieta. — Zawiadomił na piśmie milicję. Wszczęto śledztwo. To już drugi miesiąc mija od tamtego poranku...

Pani Helena daje do zrozumienia, że więcej nie powie. To wszystko. Reszta do niej nie należy. Milczymy. Grzecznościowo uśmiechy. Liczne pytania pozostają bez podpowiedzi.

Dziś, w ten wieczór z wicherem, w ten wieczór z deszczem, nic już się nie dowiem.

Trzy tygodnie wstecz, przed tym dramatycznym porankiem, rozegrała się dość przykra scena w hurtowni. Panna Zosia, kasjerka, dziewczyna prosto po szkole, została posądzona o złośliwe ukrycie bilansu; znaleziono komisyjnie te papieryzka w stalowej szkatułce jej kasy. A były potrzebne poprzedniego dnia, daremnie szukano tego bilansu po szafach, szufladach, zakamarkach. Kasjerka rozplakała się na głos i na znak protestu porzuciła pracę w trybie natychmiastowym. Panna Zosia kilka dni wcześniej, akurat w sylwestra, też miała pewnego rodzaju przykróść. Komisyjnie udowodniono niedobory w jej kasie, w kwocie pół tysiąca złotych. Główna księgową była ponoć inspirowana inspekcji. Więc skoro panna Zosia ze złochem opuściła etat kasjerki, pani Wiesia — starsza księgową, zastępczyni głównej księgowej — ujęła się za dziewczyną do tego stopnia, że natychmiast razem z nią porzuciła posterunek

pracy bez ustawowego okresu wypowiedzenia pracy. Placzów, krzyków było wtedy sporo, wszystkie biuralski trzęsły się z nerwów. Najbardziej pani Wiesia. — Gdzie jest jakiś papier! — wolała. — Dajcie mi papier, niech podanie o zwolnienie napiszę.

Uczynnie podali jej kartkę czystego papieru. Kierownik wyciągnął z bocznej kieszonki długopis.

Wcześniej otrzymała wypowiedzenie trzymiesięczne pani Lala starsza księgową, która prowadziła materiałowo. Także Małgosia, maszynistka, była w tym okresie zagrożona na swym etacie. Obecnie oficjalnie otrzymała wypowiedzenie. Ten okres obfitował w liczne sytuacje konfliktowe, rozgrywki personalne, spiecia: przegrywała grupa pani Wiesi w nierównej walce przeciw głównej księgowej.

szkatułki są również w rękach kierownika i głównej księgowej. Z tym, że główna księgową ma prawo otwierać kasę jedynie komisyjnie. Tymczasem Woźna przylapała ją poprzedniego popołudnia, jak pani Helena dyskretnie doberała się do kasy sama, na dodatek — po godzinach służbowych.

Komitet partii powołuje komisję. Prokuratura zleca wszczęcie dochodzenia milicji. Czynniki resortowe przystępują do ponownej inwentaryzacji magazynu. Słowem, zaczyna się nareszcie dzieć coś ciekawego. Komisja nie może połać się w tym wszystkim; zatem nie wydaje jednoznaczniego werdyktu. Stwierdza tylko istnienie zakieję walki personalnej wewnątrz hurtowni. Asumpt do przemyśleń dała zresztą panna Zosia nieostrożnym sformułowaniem skargi: „Mimo tego, że dopiero

Stanisław Rams

## WIELKIE NIEKOCHANIE



Fot. OTTO LINK

Zosia jest najmłodsza wiekiem i stazem. Przyшла tutaj jesienią ubiegłego roku po uzyskaniu dyplomu technika ekonomisty. Najmłodsza pisze skargę do prokuratury, jednocześnie przekazując odpis do miejskich władz partyjnych: „Uczęszczałam do szkoły i tam uczono mnie, jak powinna wyglądać praca pod względem organizacyjnym w instytucjach i przedsiębiorstwach. Po przepracowaniu kilku miesięcy i obserwacji organizacji pracy wynioskowiłam, że w zakładzie, w którym pracuję, jest wręcz odwrotnie, jak powinno być”. Panna Zosia informuje dalej, że jesienią była przeprowadzona inwentaryzacja roczna magazynu, spis z natury. Lipa, po prostu lipa, a nie inwentaryzacja. Była członkiem tej komisji. Protestowała przeciw złożeniu podpisu pod takim protokołem. Przeciw różnym nieformalnościom. Naraziła się kierownictwu. A więc także głównej księgowej. Słowem, porachowali się z nią bardzo szybko. Twierdzi z całą stanowczością, że bilans podrzuciła do stalowej kasety głównej księgową, aby później posądzonym o złośliwość ostatecznie ją wykończyć. Równocześnie zawarta jest w skardze sugestia, że niedobory w kasie niekoniecznie musiały wynikać z jej pomyłki. Przecież klucze do

skończyłam szkołę, wydaje mi się, że posiadam więcej wiadomości niż nasza dyplomowana pani księgową”.

A więc klucz do rozszyfrowania przykrej zagadki? Komisja zakończyła badania na tydzień przed tamtym dramatycznym porankiem okraszonym trucizną.

Kierownik przyjmuje mnie w swoim gabinecie z dużą niechęcią. — Po co pan wraca się do naszych spraw? — zapytuje obcesowo. Gryzie wargi. Chyba to wicherzyło, które tłucze się od kilku dni za oknem, tak ujemnie oddziałuje na system nerwowy. Bo kierownik jest bardzo, bardzo wzburzony. — Czy ja nie mam innych spraw na głowie, tylko o takich duperalach myśleć? — niemal krzyczy. — Ja mam plan, ja mam wykonawstwo. Mnie za to biją w kuper, gdy planu nie wykonam. — I dalej już spokojniej: plan miesięczny działalności zakładu jest w normie. Wskaźniki korzystne. Hurtownia odnosi sukcesy we współzawodnictwie. Ludzie dostają przy każdej odświeżonej okazji różne odznaczenia państwowe. Ludzie mają dyplomy, zakład wyróżnienia. Czynniki odgórne chwalał hurtownię. Minister kiedyś rękę

Zanim jeszcze „Dunajec” jako tygodnik jął przemierzać chude kioskowe lady, już został zaatakowany doświadczonym piórem pisma — jak by nie być — poważnego. No, może nie zaatakowany, lecz w każdym razie poklepany. Wymienienie pióra i pisma nie ma tu znaczenia, gdyż takie pobłażliwo-protekcjonalne uwagi pod adresem prasy regionalnej są regularnym, ostatnio coraz częstszym — odnosi się wrażenie — ulubionym motywem wyrzeń ze strony niektórych żurnalistów (z bardziej zasiedzialych pism (co ciekawe, przeważnie staro-wojewódzkich). Ufam, iż tylko z braku natchnienia. O! strzelił się mimochodem i trafilnie pewne.

Poniżej strzałom takim rzadko towarzyszy proch rzetelnej krytyki, metodę

trzeba nazwać obrzydliwą, jak strącanie z góry kamieni na wspinających się rywali. I jeszcze ton, nabrzmiały świadomością swojej pańskości i pozycji, ton racji nie do odrzucenia, zważywszy choćby nakład i zasięg atakujących. — No i pióra, takie pióra...

Jak ni trudno zauważyć, zamierzam stanąć po stronie pism regionalnych, ścisłej wojewódzkich. Dla podkreślenia jasności intencji. podaje, że dziennikarzem nie jestem, nie rzucam się więc na antagonistów z myślą o własnej kasie. Nie ma też powodu sądzić, abym zdolał odgrzyźć się wszystkim, którzy dokuczają gazetom prowincjonalnym. Nie to jest zresztą moim zamiarem, bo część podskubywaczy ma przecież rację. Są gazety wojewódzkie o poziomie rzeczywistym strasznym, i tych nawet już

nikt się specjalnie nie czepia, widocznie przywykli. Banalne informacyjki pisane jakby przez redaktorów gazetek ścisłych, takie reportażki, polityka — co najwyżej skrót referatu lokalnego promienta, felieton — przedrukowany z PAP-u, publicystyki — ani deka... Szkoła papieru, zamknąć? Nie, papier zostawić i zadrukować go tręścią. „Dunajec” zaczął wreszcie wychodzić (wreszcie, czyli o pięć lat za późno, gdy wszyscy sąsiedzi dawno już martwią się swoimi tygodnikami). Pech pism wojewódzkich polega na tym, że stanęły w jednym rzędzie z różnymi nowo-wojewódzkimi kompleksami — ambicykami: teatr zawodowy, kilometr sześciopasmowej autostrady wjazdowej od strony stolicy, porządny plac z okazył pomnikiem (gdzieś trzeba skła-

Wacław Raczkowski

## Małe jest

dać te wience, młodzież patrzy), wieżowiec władz... Podejrzewano regionalnych włodarzy, że nie znajdują gdzie indziej miejsca pod ścisłaniem rąk produkującym rolnikom, wręczania odznaczeń, wygłaszanie przemówień, udzielanie wywiadów, zajmowanie stanowiska w „wzwałowych problemach” i w ogóle bywanie — będą sobie chcieli

podał przy wszystkich. Więc o co tu właściwie chodzi?

— Udobruchalam go w końcu. Stał się rozmowny. Nawet sympatyczny. — Przecież nie mogłem wcześniej interweniować — powiada rozkładając w swej bezradności ręce. — Bąby się kłóca, różne paprochy nieszkodliwie wzajem sobie syją. Mogłem się ośmieszyć nazbyt pośpieszną interwencją. Wtedy dopiero podjąłem decyzję, gdy laboratorium według wstępnych badań wykryło w herbatce arsen. Dowiedziałem się o tym dopiero po kilku dniach.

— Potem patrzy na mnie znacząco. Dodaje miękko:

— To pan nie wie, jak w życiu bywa?

— Wiem, wiem. Jak długa i szeroka polska kraina, wszędzie dostrzec można to wielkie niekochanie. W różnych środowiskach, biurach, fabryce, podwórkach. Wojna nerwów. Na ogół cicha, skryta, zjadliwa. Zderzają się ze sobą ambicjki, konfrontują poglądy, krzyżują interesy osobiste, parciem skorpuciej intrzyki. Ja panu pokażę! Ja pan! dam! Wydra. Pies. Suka. Ten cichy front niekochanie musi dzielić się na dobrych i złych. Dobrzy z dobrymi walczą, źli z gorszymi idą w zawody. Kanalia z szują niszczą się donosami. Nie zaraz wybuchają te prywatne starcia fajerkierem totalnej konfrontacji. Nie zaraz. Ta walka tli się niekiedy mdławym ognikiem w popiele zastygłym. Dopiero gdy skądś wicherzysko przyłeci, rozdmucha ognienik, bucha w górę płomieniem, pał, niszczy. Następuje wielkie oczyszczenie.

— Z Woźną nie chcę rozmawiać w biurze. Sciany mają uszy. To ona podala tę herbatę. Wcześniej podobno wyszła na chwilę z magazynku, gdzie pichci się zwykle gorące napoje. W hurtowni zajmuję się głównie sprzątaniem. Robi po południu. Rano natomiast ma obowiązek wrzucić naparzyć dla biurowych. A także kawy, gdy są imieniny, dajmy na to — radcy prawnego. Chodzi z listami na pocztę. Woźna mieszka na zagraconym przedmieściu, daleko od centrum. Półwiejskie uliczki. Domy z odrapanej cegły, drewniane piętrówki. Parterowe ciupki, przybudówki, szopki, komórki. Sady stare, płoty zbutwiały. Czarny las obsiadł pobliskie wzgórza. W tej dzielnicy różni ludzie po norach myskują. Dzielnica ciągłych interwencji ze strony milicji. Szukam w tej dzielnicy mieszkania Woźnej. Hula wicherzysko na pobliskim cmentarzu wśród krzyży i nagrobków, targa łuski korony drzew. Tarza się w kalużach. Obok rozbabraniej drogi, gdzie spółdzielnia krzykliwym szwędem ofiaruje grobowce, na drutach przydrożnych demony się huśtają, kołysankę nuci.

— W sublokatorskim pokoiku zastaje młoda kobieta w szlafrocuku. Spała właśnie. Gościnnym gestem zaprasza do środka. Siarłamy prz stre. Młodka poprawia fryzurkę; jest opanowana, kokieteryjna.

— Zamyśla się na chwilę, potem dodaje:

— Dlaczego miałabym główną księgową? Ja zawsze stałam z boku. Do wojny się nie mieszałam. Ja jej nawet współczułam.

— Woźna patrzy z taką naiwną dziecinnością, jak-że jej nie wierzyć? O ileż mniej kłopotów miałaby organa śledcze, gdyby ludzie byli ze sobą szczerzy. Obywateli, zgłosił się sam, nie utrudniał pracy milicji. I między ludźmi dialogi mogłyby być szczerze. Tchnął prostota:

— Napije się pani kawyki z arsenikiem?

— Och, na razie dziękuję. A pan? Może kieliszczek z cjankiem potasu?

— Owszem, za chwilę. Słyszałem, że selenin baru również dobrze robi...

— Możliwe. Nie kosztowałam. Kiedyś strykowski się zmarło zaraz po sporządzeniu testamentu. W kropelkach na serce była sól Macquera. Stąd wnoskuje...

— Zielen Scheelego też dobra. To z rodziny arseninów. Skutkuje nagle w likierze miętowym.

— Fe, panie! Któż to dzisiaj likiery miętowe pija?

— Budzę się z zamyślenia. To pani Woźna wciąż o sobie opowiada. A także o pani Helenie. Gdy przyszła do hurtowni ta pani Helena na etat, wyglądała kwitnąco. I zdrowo. W ciągu dwóch lat bardzo się postarzała. Stała się nerwowa, kiłtliwa. Zrzędziła. Całymi wieczorami w biurze przesiadywała. Nadrabiała zaległości. Podobno nawet uczyła się z różnych skryptów, bo miała trudności w wykonywaniu swych zadań. Tamie się z niej wciąż śmiały, ze kujon. Chichotały po kątach. A ona chciała im utrząć nosa. Pokazać, że ma

kwalifikacje, tę wledeń niezbędną przyrządową głównę księgowę.

— Któregoś dnia rozesała się pogłoska, że Wiesia zostanie główną księgową — uśmiecha się Woźna. — Ale teraz...

— Czekam na zakończenie zdania. Miła rozmówczyni zesłała na inny temat.

Do willi pani Wiesi trudno się dostać. Posesja jest solidnie ogrodzona mocną siatką, murkiem z lamanej kamienia. Na werandzie wilczur z czarną mordą chwicie na intruza patrzy. Ale wystarczy nacisnąć guziczek przy żelaznej furtce, aby po betonowej ścieżce sfrunęła dobrze odżywiona dziewczyna. Córeczka pani Wiesi. Czekam w pokoju. Zagląbam się w ciężki, wysycelany fotel.

— To było tak: któregoś tam listopada, w dzień pochurny i mglisty, kierownik powiedział: — Hm! Czy mogłaby pani przejąć funkcję głównę księgowę? — A pani Wiesia skromnie: — Ależ kierowniku, jakie tak można. Ten kierowniczy etat w księgowości zajmuje Helena. — Niech się pani dobrze zastanowi — uśmiechnął się kierownik. Tak w każdym razie twierdzi pani Wiesia. Nigdy jednak nie dowiemy się dokładnie, jak było naprawdę. Czy na pewno uśmiechnął się? A jeśli tak, jaki był uśmiech: ironiczny, dobroduszny, zasadniczy, szycerzy? I może przy tym zmrużył oko? Ważne to niezmiernie, gdyż nieścisłość relacji wiele nam sprawy gmatwa.

Powiedzmy, że kierownik uśmiechnął się tak jakoś ponuro. To znaczy — ma kłopoty, które usiłuje rozwiązać jednym ostrym cięciem. Szabła na odlew. Przypuścmy też, że pani Wiesia, spuściwszy modre oczuła, skromnie odrzekła: „na każdym stanowisku będę wiernie spełniać polecenia”. Jasno był z tego wynikało, że Helena musi odejść. Na etacie głównę księgowę ładuje wówczas pani Wiesia. Zwalniamy tym samym swój etat zastępcy głównę księgowę; stwarza się niezwykle korzystna sytuacja dla Lali, która jest załedwie księgową i prowadzi materiałowo. A gdyby pani Lala poszła o jeden stopień w górę, na jej miejsce wskoczyłaby panna Zosia, kasjerka, dziewczę jak malowanie. Jasne, byłoby to dla niej awans, większe pobory o kilkadziesiąt złotych, a także przysporzyłoby wartości niewymiernych, bo niematerialnych, a mianowicie zaspokojenie młodzieńczych ambicji. Jest jeszcze Małgosia, maszynistka po dwóch latach prawa, przyjaćlićka Lali, rówieśnica z lat szkolnych. Te fakty niejako samorzutnie wciągają ją w orbitę wpływów grupy pani Wiesi.

— Proszę pana — zwierza się poufnie przywódczyni. — Ta nasza główna księgową to nie nie umiała. Nawet zadekretowała marnego pismenka.

No dobrze, już dobrze! Wtrącamy w tym miejscu kilka zdań o kwalifikacjach dwóch głównych rywalów. Najpierw o pani Helenie: w latach okupacji była telefonistką obsługującą linię kolejki wąskotorowej. To było na Podolu. Potem była biuletową w barze niedaleko Lwowa. Uciekła do Warszawy, przeżyła gehennę powstańca, wywózkę do Niemiec hitlerowskich. Powrót do ojczyzny, w jakie niezwykłej scenerii. W Krakowie jest maszynistką jakiegoś przedsiębiorstwa aprowizacyjnego. Po dwóch latach — pracownicą w zakładzie drzewnym. Dwa lata studiów dziennikarskich w grodzie Kraka. Trud reporterski w gazetkach wiewiódkich. Przymiuję etat sekretarki w wydziale zdrowia. Wkrótce zmienia te prace: tym razem prowadzi księgowość pewnej organizacji społecznej. W technikum jest przez kilka miesięcy główną księgową, po czym przechodzi na taki sam etat do urzędu statystycznego. Jeszcze tegoż samego roku zmienia się w statystyka. Ale ten zawód wydaje się jej jeszcze mniej atrakcyjny, wobec tego powraca znów na stanowisko głównę księgowę w zespole szkół zawodowych. W roku 1970 przechodzi do hurtowni. Kilka różnych kursów księgowości, szkoła maturalna, a także te dwa roczki studiów krakowskich, taka jej wiedza w wykonywanym zawodzie.

Pani Wiesia? Pochodzi z północnej Polski. Może pochylać się dyplomem szkoły średniej i liceum administracyjno-gospodarczym. Przez dwadzieścia lat parala się liczydłem w kilku zakładach pracy, zawsze w rachunkowości. W miasteczku nad morzem prowadziła księgowość w powiatowej radzie, potem w wojewódzkim zjednoczeniu pegeerów, w handlu wiejskim, w przemysle leśnym, handlu detalicznym, w spółdzielni rzemieślniczej. Nie wątpilwie mówią o niej, że goruje nad rywalką doświadczeniem, przegotowaniem zawodowym. Wyszła za mąż za rzemieślnika, co dało jej pewną

niezależność materialną. Nie drżała o ten swój etat piastowany, o nie! W każdej chwili mogła rzec: odchodzę! Stać mnie na to!

Nadszedł w Polsce czas, kiedy ludzi na różnych stanowiskach zaczęto natrętnie nagabywać o kwalifikacje, dyplomy. Ba, nawet postawy etyczne wchodziły w zakres oceny przydatności zawodowej pracowników. Zaostrzyła się więc rywalizacja między lepszymi a tymi, którzy nie chcą ustąpić. Ale nie zawsze tak bywa. Czasem zły z gorszym się wadzi. Hurtownia stała się mikroscopem konfliktów społecznych. Pani Helena była na tym placu walki osamotniona niczym skalista wysepka wśród huczących balwanów. Ciągłe utarczki. Nieustanna, narastająca w silę wojna podjazdowa. Ironiczne uśmieški. Uszczypliwie dowcipuski. Dogryzanie, Obrzydzenie życia. Totalna krytyka ze strony środowiska. Słowem — wojna. — Chcęcie mnie wygrzyć! — krzyknęła kiedyś, wyczerpana nerwowo do ostatnich granic. Uciekła do lazienki, strumień wody lała sobie na twarz i kark.

— Nie wysypaliśmy truciki — twierdzi z godnością Lala, która wpadała na pogawędkę do willi pani Wiesi. — Nie dziwiłabym się, gdyby ktoś troszczyłaxigena. Albo coś w tym sensie. Ale nie truzenie.

— Wiesia przychodziła z biura zawsze splakana — opowiada mąż, zniszczony ponoć domiarem rzemieślnik. — Nerwowo wykończona. Taka roztrzęsiona...

Kiedyś wróciłam z hurtowni — podejmuje myśl małżonka. — Nic, tylko płaczę, lzy mi ciekną po rękach. Chodzę po pokoju i na cały głos odmawiam modlitwę: *Pod twoją obronę uciekam się*. — Mąż sądził, że hopsa z tych nerwów dostałam.

Z ich czwórki najpierw Lala dostała wypowiedzenie. Główna księgową sporządziła na nią skargę. Podobno dwa dni pisała, układała. Lala o tym dobrze wie, bo w koszu znalazła brudnopis podarty w drobne kawałeczki. Kilka godzin cierpliwie go składała na szybc, aby dowiedzieć się ostatecznie, o też takiego groźnego rywalka wymyśliła. Chodziło o podważenie autorytetu. W dwa dni później Lala dostała od kadrowej pismo o wypowiedzeniu. Po kilku tygodniach odparowała ten cios, skontrolowała zaświadczeniem o odmiennym starcie. Chroniła ją ustawa. Wypowiedzenie trzeba było anulować. W taki sposób Lala pozostała na polu walki, reszta poległa.

Kierownik nie daje za wygraną, chodzi za mną. Gdy znów przyszedłem do hurtowni, zaczął mi nie na schodach:

— Takie duperele — powtarza kierownik. — I o tym będzie pisało w gazecie?

Przygwałdził mnie argumentacją, która zwykle odnosi sukcesy. A więc: przecież każdy w końcu wykonuje swoją robotę. Na zebraniach Rady Zakładowej nie ma zakłóceń, dyskusje poważnie się rozwijają, w požądany, konstruktywnym kierunku. Tematyka zawsze jest pryncypialna, a nie z marginesu społecznego. W kolektywie partyjnym też nie obserwuje się rozróbek. Spokojnie. Dopiero ostatnio, kiedy te interwencje z zewnątrz, kiedy to prasa zaczęła niuchać, kiedy te donosy...

Przerwe w tym miejscu wypowiedź kierownika i własne słowa wstawie: cóż mówi o stresie teoria Hansa Selyego, profesora z Montrealu? Stres. W psychologii stresem nazywa się czynnik zewnętrzny, które utrudniają zaspokojenie potrzeb, ambicji. Stanowią w jakimś sensie nieustanną groźbę dla jednostki, wpływają na obniżenie poczucia własnej wartości, przydatności. Napięcie emocjonalne, lęk o przyszłość, kompromitacja, negatywne oceny permanentnie dozowane, wszystko to wpływa na sytuację stresową. Silny i długotrwały stres — zwany dystresem — może doprowadzić do skrzywienia psychiki, głębokich przeobrażeń osobowości. Do nieodpowiedzialnych działań. Także do śmierci. Można wtedy spokojnie powiedzieć: wykończyliśmy facetkę. Załatwiliśmy na amen facetę...

Po tygodniu znów wróciłem do willi z werandą i wilczurem. Były dwie przyjaciółki, coś ze sobą szepotały. Chciałem jeszcze raz ich wysłuchać, tym razem uzbrojony w zdobyte fakty, informacje.

— Napije się pan męcej herbaty? — kusi pani Wiesia.

Zaprzeczyłem ruchem głowy. Milczałem przez jakiś czas, choć tyle miałem do powiedzenia. Wciąż milczałem. Patrzyła na mnie uważnie oczy. Wilczur w progę przekreślił czarny pysk w jakimś dziwnym napięciu.

— Kochajcie się, ludzie — rzekłem w końcu. — Jedno macie życie. I jedną ojczyznę.

## potrzebne

wydawać biuletyny ku własnej chwale. A to przecież papieru nie ma, obywał nie może kupić porządnej gazety, wydaje nowa, to n a s, starych, obywał nie będzie mógł poczytać, takie nieszczęście, kultura polska... Zamknąć, wyrzucić!

Tch, co liczyli na kapliczki „Dunajec” pewnie zawiódł. Nowy tygodnik

ma do zrobienia dużo więcej, niż zaspokojenie potrzeb reprezentacyjnych.

— Ale sama redakcja nie udziwnię problemu. Obserwuję na przykładach, jak fatalnie kończą się takie „ambicje”. Jeżeli gazeta ukazuje się w niewielkim województwie, bez większych tradycji prasowych, naukowych i pisarskich — tym gorzej; redakcja nie może wspierać się regulaminem profesjonalistami, a w każdym razie traktować tego jako zasady. Na szczęście pozostają jeszcze ludzie. Nie zawsze przyzywający do zabierania głosu w tej formie, lecz mający coś do powiedzenia. Także ci, co „Dunajec” krytykuje. Moi drodzy! Może tak zamiast narzekać, że za mało o naszym mieście, że nie tak o naszej ofiarnej zalodze, zamiast użerać się przez różnych rzeczników z redaktorami

o sformułowania i sądy, samemu wziąć za pióro? Samemu kształtować gazetę? Zrobić z niej rzeczywistą trybunę dialogu? (Tfu, slogan).

— Czy powszechna jest taka postawa? Praktycznie zniknął u nas obyczaj funkcyjna przez ludzi pełniących funkcje publiczne. Co najwyżej, drukuje się wywiady, najpierw starannie wazone, potem wielokrotnie koloaudowane. Albo nudnawe referaty, które trudno traktować jako wypowiedzi osobiste, gdyż najczęściej opracowywane są przez zespoły. Gdzieś tu chyba koloczają się echa niedyśerszego pojnowania gazety jako „zbiorowego agitatora” w sposób nieco prymitywny. Działają jeszcze nawyk „nie wychylania się” na wszelki wypadek z osobistymi poglądami, ba można zupełnie bezinteresownie pod-

paść nie wiadomo komu, a wiadomo — pismo pozostaje. I tak ukształtował się nowy obyczaj, jak zaprzeczenie starego, silnie zakorzenionego między innymi w polskim ruchu robotniczym. Szkoła.

Jaka jest gazeta, każdy widzi. Jaka będzie — nie napiszę, bo musiałbym agitować. Myślę, że zdola obronić się przed opinią publiczną i przed żurnalistami. Na razie może nie przejmować się natrącaniem z prasy regionalnej, bo jeszcze nie ma wśród niej wyróżnionego miejsca. Etykietowanie gazety, która jeszcze się nie ukazała, to objaw zasklepienia się w poglądach. O tolerancji i grzeczności nie wspomnę.

Gazeta ma wychodzić tam, gdzie jest potrzebna. Zabierających głos uprasza się o wzięcia tego pod uwagę.

# BŁĘKITNY KRZYŻ



O mówimy dziś wiersze na bardzo trudny temat — gdyż jest to temat jeden z najważniejszych. Wiersze o miłości ziemi ojczystej. Wiele takich istnieje w poezji każdego narodu. Niektóre stały się świętością. Odnajdujemy je w antologiach oraz podręcznikach; szkoły zalecają, by uczyć się ich na pamięć. Dość licznie też wiersze o rodzinnej ziemi: o Polsce, regionie, mieście, wsi — trafiają do pocztu redakcyjnej. Ale że to naprawdę temat trudny, najczęściej te wiersze nie osiągają takiego artystycznego poziomu, by je można uczciwie publikować. Szacunek dla autorów, zwłaszcza zaś dla tematu, na druk nie pozwala.

Dlaczego tak jest? Czemu pomimo wszystko łatwiej napisać wiersz o jesieni czy o narzeczonym niż wiersz o ojczyźnie?

Przyczyn znajdzie się kilka.

Po pierwsze — dlatego, iż autorzy pełni szczerych uczuć, ale w sztuce poetyckiej niewprawni, te uczucia formują się całkiem wprost i prosto. Tak aż dalece, że powstają teksty informujące o uczuciach, powiadamiające — podczas gdy istotą poezji jest wyrażanie uczuć, wznudzenie uczuć, lecz na pewno nie czynności informacyjne. Zobaczymy to w urwkach wierszy niektórych naszych korespondentów.

*Kocham Cię Polsko do jesteś moją  
drogą Ojczyzną  
Bom się na Twojej ziemi urodziła*

(p. Anna L., Podegrodzie)

*Kocham Cię Miasto moje rodzinne  
i lipy „Starej Kolonii”*

**Dunajec 8**

## Temperowanie pion

rubryka ZBIGNIEWA ŚLĄTKOWSKIEGO

*tam bowiem spędziłam lata dzieciinne  
w ogrodku pełnym barwnych piwonii*

(p. Władysława G., Limanowa)

*Tu się urodziłam lat temu niemało,  
Tu do Szkoł chodziłam z korzyścią  
niemałą*

[...]  
*Kocham moje miasto aż po serca  
brzeg  
I niech myśli, co chce, o tym każdy  
człek.*

(p. Helena S., Nowy Sącz)

Proste wyznania miłości z prostymi, najpotoczniejszymi uzasadnieniami. Zbyt prosto. Duże słowa rozpoczynane od dużych liter. Czasem tych dużych liter jest jeszcze więcej; żal powiedzieć, lecz prawie jak przed półtora stuleciem, gdy urzędownie wierzono, iż forma druku wystarcza — naszym kazidło — za pokłon dla MONARCHY, dla CESARZA:

*I miłość do Ciebie w naszych sercach  
świeci  
Był zawsze była WOLNA  
i NIEPODLEGŁA  
Moja OJCZYŻNO SOCJALISTYCZNA*

Zaraz. Czyżby proste uczucie nie mogło być treścią poezji? Ależ pewnie

że może. Świadczą o tym setki lięczonych arcydzieł. To tylko sposób wyrażenia prostych uczuć musi w prawdziwej poezji być świeży i odkrywczy. Kto wyrażając to samo, co inni, czyni to tak samo jak inni — nie ma poetyckiej szansy. Bo poezja — to być sobą. Właśnie sobą, aż sobą. Prostota w poezji wymaga wielkiego kunsztu. Rygoru.

Rygor polegać może np. na konstrukcji. Nie może polegać na samym uwielokrotnianiu. Nadesłano nam wiersz *Kocham Cię Polsko moja Ojczyzno* (już o tym tytule da się powiedzieć, że raczej przesadził niż nie dosadził); i co w wierszu znajdujemy? Słowo „kocham” 20 razy, słowo „kochałam” 5 razy, słowo „miłość” 3 razy, a prócz nich jeszcze „kochać” i „kochany”, „droga” i „miła” — oczywiście Ojczyzna. Taka powódź wysokich słów mało że nie zmniejsza uczuciowej tkanki wiersza, ale zmusza czytelników, by zobojętnieli i znieufniali wobec autora do reszty. To nie tylko w pisaniu tak. Czy my na wiecu, na zebraniu, łatwiej uwierzymy człowiekowi, któremu jak z krąnu płyną zapewnienia, że kocha Ojczyznę, czy też takiemu raczej, co choćby bez gromkich przysiąg doradzi, jak Jej dopomóc w trudnościach bieżących? Miłość nie zasadza się na mówieniu

o miłości i bardzo powściągliwa jest, kiedy ma donieść słowo us czynów, do realiów.

Przyczyna druga łączy się z pierwszą. Jeśli przed chwilą krytykowaliśmy ubogą, prymitywną bezpośredniość w opisywaniu uczucia — to teraz wytkniemy prymitywność w opisie przedmiotu uczucia. Gdy nieumiejętny kandydat na poetę oświadczy już, że kocha — przystępuje do opisu, najczęściej znów wyliczeniowego. W wierszu o miłości ojczyzny gotów jest odnotować województwo po województwie; albo epokę po epoce. Jakby to była rozprawka popularyzatorska. Ktoś nam przysłał wiersz o Nowym Sączu, w którym zajmując się po kolei: rzeźbą terenu, stosunkami wodnymi, pochodzeniem nazwy miasta, dawnością Sącza Starożytnego i Nowego, bantem wójta Alberta, potopem szwedzkim i eksperymentem sądeckim. Inny wiersz, *Nie zapomnij Podegrodzie*, obszerny (jedna trzecia długości *Grażyny Mickiewiczowskiej*), mógłby funkcjonować jako broszura dla turystów lub jako wspomnieniowy materiał etnograficzny; mógłby — gdyby był inaczej napisany. Po prostu: gdyby nie był wierszem. Podobnie wartości ludzkoznawcze nad poetyckimi bardzo górują w utworze *Dawne czasy* pani Heleny W. z Krościenka. Tworzenie poezji opisowej (takiej jak niegdyś *Sofistiki*, *Ziemiaństwo polskie*, *Okolce Krakowa*) jest ogromnie trudne w naszej epoce, dla której poezja to prawie wyłącznie liryka. I człowiek biorący do ręki piero musi dobrze się zastanowić, czy swe przywiązanie do ojczystych stron wyrażać powinien akurat słowem wzywającym.

Jaka jest przeto rada na kłopoty wierszotwórców z trudnym tematem — spróbujemy namyślić się za tydzień.



## Obłomow, człowiek dobry

Ktoś, kto tak zobaczył kamerą SZLACHECKIE GNIAZDO według Turgeniewa (w roku 1969, z Ireną Kupceńko i Beatą Tyszkiewicz), musiał pochodzić z rodziny o wielkich tradycjach kulturalnych; potwierdziła to późniejsza o dwa lata ekranizacja WUJASZKA WANI — sztuki Czechowa. Wprawdzie stosując zawsze z wielkim pietyzmem traktowali swą literaturę przenoszoną do kina, ale w pracach Andrzeja była nie tylko staranność, nie tylko szacunek i nie tylko talent: był także pokłon dla swojej ziemi, malarzskie odczucie światła i koloru, a co najbardziej charakterystyczne — organiczna prawda klimatu ziemskich dworów i inteligentnych salonów ubiegłego stulecia. Później Andrzej ją szukać w filmie nowych form, innych treści i nie za bardzo mu się to udało — lecz oto pojawił się w roli reżysera drugi z synów świetnego pisarza Sergiusza Michalkowa — Nikita.

Tak jak brat, namiętnie potrafi pokazać to, co zapisane zostało na stronach wielkich autorów rosyjskich tamtego wieku: najpierw w NIEDOKONCZONYM UTWORZE NA PIANOŁE, ostatnio — w KILKU DNIACH Z ŻYCIA OBŁOMOWA, transpozycji bardzo głębokiej powieści Iwana Gonczarowa z roku 1859. I znów tak jak brat, Nikita mniej autentycznie wypadł w opowieściach współczesnych, natomiast bezbłędnie oddaje rosyjską tradycję. Wydaje mi się, że w jego wypadku wiąże się to ze zbyt żywym temperamentem, co powoduje irytującą czasem przerysowaną; sądzę tak dlatego, że występuje również jako aktor i wtedy szarżuje na cały regulator (choćby w SYBERIADZIE). Podobnie pozwalał robić wykonawcom ról w swoich filmach; a kino to nie teatr. Wymaga delikatniejszych środków, wymaga prawdy zachowań.

Kiedy jednak postacie o wielkiej wyrazistości pojawiają się w scenarii historycznej Rosji XIX wieku, to są one tam znacznie bardziej na miejscu i wiele można Michalkowowi wybaczyć — w OBŁOMOWIE choćby tego niedźwiedziatego i niechlujnego sługę Zachara albo Myszkiniowego młodzieńca, Aleksiejewa — a poza tym reżysera staje się w tych filmach jako automatycznie bardziej spokojna. Czy przez pamięć o oddalonym tamtych wydarzeń, o patynie czasu?

Może. Ale trzeba od razu powiedzieć, że wyborami tematów adaptatora OBŁOMOWA nie kieruje nostalgia za piękną starą epoką. O, nie. OBŁOMOW został nam przedstawiony dla dwóch aspektów, aktualnych również po stu latach. Pierwszym jest portret człowieka, który przegrywa w czasach przygnieszczenia cywilizacyjnego; drugim — wielka alegoria Rosji i Zachodu.

Została ona wyprowadzona ze wzajemnego stosunku dwóch przyjaciół od dziecka, Obłomowa i Szołca, którego ojciec — Niemiec osiadł w Rosji — wychował na wskroś po niemiecku: spartanisko, przebojowo, „światowo”. Trzydziestoletni Obłomow, próbujący ról kariery urzędniczej w mieście, coraz bardziej separuje się od ludzi; mierzwi go hipokryzja salonów, odstręca powierzchowne życie i konieczność gorączkowych zabiegów o powodzenie. Stolec natomiast jest wodzirejem, który bezustannie dopinguje przyziemnego przyjaciela. Ale oto zostaje nam odkryty drugi, złaćhetny w swej dostojności sens słowa PRZYZIEMNOSC. Bo oznacza on bliskość ZIEMI, organiczny z nią związek, odczucie jej tętna, jej piękna; miłość do ojczyzny.

Resztę trzeba zobaczyć na filmie. A warto. KILKA DNI Z ŻYCIA OBŁOMOWA mieści się wśród najwspanialszych i najbardziej przenikliwych adaptacji literackich na ekranie. Wspaniale odtworzone postacie (Oleg Tabakow w roli tytułowej, Jurij Bogatyrjew jako Szołca, Jelena Solowiej kreująca Olę), lustrzanie żywa epoka w fotografii Pawła Lebieziewa, muzyka dopełniająca wrażenie, z jakim przyjmujemy się to dzieło... Zapewniam, że złożyło się to na film nie tylko dla konasatorów, lecz dla każdego wrażliwego widza.



## Inwentarz Biblioteki Aleksandryjskiej Zaprosili nas...

Niewielki stary papirus odkryty niedawno podczas porządkowania zbiorów w austriackiej Bibliotece Narodowej okazał się prawdziwą rewelacją. Stwierdzono, że jest to fragment katalogu najświeższej biblioteki świata antycznego — Biblioteki Aleksandryjskiej. Papirus liczy ok. 2200 lat i zawiera 214 linijek tekstu. W ten sposób natrafiono na ślad dawnych zbiorów Aleksandryjskich. Biblioteka w Aleksandrii została założona w III wieku p.n.e. przez Ptolemeusza. Później stała się rozrastała gromadząc setki tysięcy rękopisów. Aleksandria stała się pod rządami Ptolemeusza największym centrum kulturalnym i naukowym świata antycznego. Zbiory biblioteki zawierały dorobek ówczesnej literatury i nauki. Biblioteka została zniszczona podczas pożaru ok. 640 roku.

Odnaleziony w Wiedniu papirus zawiera spis ok. 214 pozycji bibliotecznych. Jest to zapis krótkich epigramatów, praktykowany w starożytności sposób spisywania dzieł, polegający na cytowaniu pierwszych słów tekstu. Pierwsze fragmenty danego tekstu były zarazem hasłem wywoławczym, umożliwiającym odszukanie manuskryptów. Np. jeden z cytatów brzmi: „ZACZERPŃE ŚWIĘTEJ WODY Z ASTERIS”. Asteris była nazwą mitologiczną wyspy Delos, rzeczywiście bogatej w źródła. Inny tekst zaczynał się od słów: „DLA WSZYSTKICH PIĘKNO JEST PIĘKNEM”.

Skąd się wziął ów tajemniczy papirus? Został on nabyty przez bibliotekę wiedeńską w końcu ub. wieku od amerykańskiego kolekcjonera wraz z 60 innymi manuskryptami. Była to obfita korespondencja prywatna, dokumenty handlowe, spisy podatkowe, pokwitowania. Cały zestaw tych dokumentów pochodził z III wieku p.n.e. i zawierał wiele interesujących informacji o życiu codziennym w Egipcie za rządów dynastii ptolemejskiej. Uczeń ma nadzieję, że znaleziony papirus nie jest jedynym zachowanym dokumentem dotyczącym sławnej Biblioteki Aleksandryjskiej.

„Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu na spotkanie, inauguracyjne nowego roku działalności kulturalnej w województwie ■ Komitet Organizacyjny Wystawy i Pokazów przy Wydziale Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa UW na wystawie zwierząt hodowlanych z okazji „Nowosądeckiego święta plonów”.

1950

W czasie obrad Światowego Kongresu Pokoju w Warszawie ekipy polskich alpinistów zatknęły sztandary pokoju na najwyższych szczytach polskich gór, m. in. na Rysach. Trzydziestu zakopiańskich taterników pod kierownictwem J. Zubka i P. Fogla weszli poprzez Halę Kondratową na Giewont, gdzie ustawili sztandary z białym gołębkiem.

(„Gazeta Krakowska”, 19.XI.)

Pierwsze ośrodki wczasowe uruchomił „Orbis” w woj. Krakowskim: trzy w Zakopanem, jeden w Krynicy i jeden w Szczawnicy.

(„Dziennik Polski”, 22.XII.)



1960

W PIERWSZYM DNIU MAŁEŃSTWA ZOSTAŁA WDOWA. Tragicznie zakończyło się małżeństwo, jakie w niedzielę zawarli ze sobą mieszkańcy wsi Pisarzowa w pow. limanowski, 34-letni Stefan G. oraz Genowefa L. W kilka godzin po ślubie odbyła się uroczona wesełna. W trakcie zabawy doszło do pierwszej sprzeczki małżeńskie. Małżonek zdenerwował się do tego stopnia, że opuścił dom weselny, udał się na pobliskie tory, gdzie rzucił się pod koła pociągu towarowego. Poniósł on śmierć na miejscu.

(„Gazeta Krakowska”, 15.XI.)

1970

Powiat limanowski wzbogacił się o nowy rezerwat przyrody pod nazwą Luboń Wielki o powierzchni 13 ha, położony w obrębie Nadleśnictwa Poręba Wielka, w gromadzie Raba Wyżna. Znajduje się tu ciekawe usywnisko fliszowe oraz skały o oryginalnych kształtach.

(„Gazeta Krakowska”, 16.X.)

Nowy Sącz otrzymał czterooddziałowe przedszkole, wzniesione przy ul. Bjeruta kosztem 2,2 mln zł., w którym opiekę znajdzie ponad 150 najmłodszych obywateli.

(„Gazeta Krakowska”, 7.X.)

# LEGENDA O JADZE



## Dlaczego: legenda?

Bo tylko legenda podaje z pokolenia na pokolenie obrazy ludzi-bohaterów bez skazy, monolity na ponadczłowieczą miarę. A jedynie taką Jagę dziś mogą odnaleźć we wspomnieniach tych, którzy stykali się z nią przed laty, szczególnie zaś w dniach wojny. Wiemy, że z pewnością wizerunek ten urosnął w wdzięczność i miłość, ale jeśli wyda się komuś, że portret Jagi, który tu kreślę, jest zbyt piękny — wybaczyć. Tak go utrwał czas i ludzka pamięć. Właśnie — na miarę legendy. Niech już taki pozostanie...

Jak przystało bohaterce legendy Jadwiga Czarniejewska podobno już od młodszych lat odznaczała się najpiękniejszymi cechami charakteru: bezinteresownością, dobrocią, pogodą ducha, przeogromną pracowitością i „głodem wprost” pracy społecznej. Znajdowała czas na kółka literackie i teatralne, na pracę w czytelni i kursy wieczorowe, na aktywność w Lidze Obrony Powietrznej i Lidze Morskiej. A przede wszystkim — na harcerstwo, które miało stać się jej pasją na całe życie, zaś wiezi zadziergnięte w tych szkolnych latach przetrwać miały dłużej niż życie Jagi: do dziś jej przyjaciółki z drużyny składają na jej grobie kwiaty...

W 1926 roku dziewiętnastoletnia Jaga przeskoczyła z ławy szkolnej na katedrę pedagoga, by wprowadzać małych uczniów wiejskich szkółek na drogę wiedzy i dorosłych obywateli. Ze jednak dla Jagi byłoby to za mało zajęcia, uczyła i rodziców swych malców, walcząc z ciemnotą i analfabetyzmem z takim zapalem, z jakim poprzedziła na harcerskie podchody „wilczki” i „zuchy”.

Wreszcie — elegancka ujmująca, wesola brunetka wpadła w oko pew-

nemu inżynierowi, Zygmuntovi Wołskiemu, i 30 sierpnia 1936 roku odbył się w Lublinie ich ślub, a potem młodzi państwo Wołscy osiedlili się w Nowym Sączu, gdzie Zygmunt pracował w starostwie jako hydrotechnik, zaś Jaga uczyła dzieci w wiejskich szkołkach opodal miasta.

Wojna spadła nagle, rozbiła rodzinę Wołskich. Zygmunt po kampanii wrześniowej znalazł się na Zachodzie, skąd już do kraju nie wrócił, zaś jego żona została sama w mieszkaniu przy ulicy Tatrzańskiej.

Sama? Tak. Ale nie miała czasu odczuwać samotności. Do Nowego Sącza napływali przesiedleńcy z tzw. Warthegau. Jaga, działająca już w Polskim Komitecie Pomocy, miała pełne ręce roboty, żeby znaleźć dla nich, dach, chleb, pracę. Sama żywiła się podobno tylko mlekiem, a mieszkania nie opalała wcale, bo wszystkie posiadane fundusze obracała na potrzeby innych. Gotowa była też lekceważyć wszelkie nakazy i zakazy okupanta i tylko stanowcze żądania współpracowników, by nie naraziła siebie ani ich — skłaniały Jagę do pewnej oszczędności.

Później, gdy przewalała się fala uchodźców, Jaga pomagała więźniom.

Zbójnictwo na Górnjej Orawie należy do najmniej znanych. Wprawdzie polska Orawa została stosunkowo późno załudniona i nie ma tak bogato rozwiniętej literatury jak południowa (należąca do Słowacji), która wydała obrosłego w niezliczoną ilość pieśni i legend słynnego hetmana zbójnickiego — Jerzego Janosika, ale przecież i ona ze wszech miar zasługuje na uwagę. Dokumenty dotyczące Orawy oraz liczne opowieści o tematyce zbójnickiej zawierają bowiem elementy, na które dotąd nie zwrócili uwagi badacze tego frapującego tematu, jakim wciąż jest zbójnictwo karpacc-

w przeciwnym razie zemstą na bar-dziowskich mieszczanach. O rozgależeniu kompanii zbójnickiej świadczą miejscowości wymienione przy podpisach na liście: Orawa, Muran, Dunajec, Sanok, Rymanów i Przemysł.

Oddajmy głos innym dokumentom. W aktach sejmikowych województwa krakowskiego czytamy:

My, rada koronna, Sebastian Mielecki kasztelan krakowski i starosta brzeski, Jan Firlej z Dąbrowice wojewoda i starosta krakowski i rohatyński (...) i my deputaci od wszęgo rycerstwa ziemi krakowskiej i sandmierskiej (...) baczemy być tego wielką potrzebę Rzeczypospolitej, aby granica województwa krakowskiego, także i zamek krakowski, był opatrzon, takowuy obyczaj pogranicznej jednostajnie postanowiliśmy, to jest, iż na pogórz od granice węgierskiej ma być służebnych czterysta koni i czterystu drabów.

Potrzebę powołania dodatkowych oddziałów wojskowych uzasadniano koniecznością przeciwstawienia się zbój-nictwu, które szerzyło się w zastraszający sposób. Towarzystwa biesiadników, zwanych też rebeliantami, liczyli często po kilkuset chłopów, a zdarzało się, że i kilka tysięcy.

W napaściach na dwory nie chodziło wyłącznie o grabież, lecz często o represję i odwet. Taki charakter miał np. napad na dwór Cikowskiego w Zeglach, gdy bowiem Cikowski wysłał na Węgry woźnicę, aby skłonił do powrotu zbłędnych ze swi poddanych, ci zorganizowali się w 40-osobową kompanię, uderzyli na dwór i uprowadzili mnóstwo bydła.

Pierwszym większym źródłem historycznym, miarodajnie traktującym o różnych formach rozbójnictwa na pograniczu trzynastowiecznej Polski i jej sąsiadów, są oczywiście Kroniki królestwa polskiego — Jana Długosza. Autor Roczników wspomina, że rycerz Teoderyk, wojewoda krakowski (...) we swi swojej dziedzicznej Ludzimirzu, biskop miasteczka Nowego Targu, (...) założył klasztor zakonu cystersów (...), ale wstając, że zakonny klasztor u Ludzimirzu, w Włoch sprowadzeni, od swiwo Beliala, hapietucem zajęty, rozmaite cierpieli przeszkody i krzywdy, po latach dziesięciu od założenia i ukończenia klasztoru u Ludzimirzu przeniósł go do wsi Szyrze (Schyrze), od Sulistawa, kanonika krakowskiego (...) za sto grzywnen srebra kupionej, gdzie po dziś dzień się utrzymuje.

Na wydarzeniu tym Kazimierz Tetmajer osnuł jedno z najpiękniejszych swoich opowiadań tatrzańskich pt. Rosicka (Na Skalnym Podhalu). Groźne i długotrwałe zjawisko, jakim było zbójnictwo karpaccie, miało też swe źródła w buntach wojska. Znany jest z historii rokosz wojska zaciężnego za Kazimierza Jagiellończyka, które w 1457 roku w licz-

## Andrzej Jazowski

# Zbójnictwo u stóp

bie kilkudziesięciu tysięcy obwarowało się w rejonie Oświęcimia, Myślenic i Dobzyc i przez jakiś czas grabiło okolice miasteczka i wsie. Podobnie miała się rzecz w 1620 roku, kiedy Lisowczycy także zatrzymali się w okolicach Myślenic i niemilosiernie pustoszyli okolice.

Tak więc różne formy napaadów, presji, odwetu czy buntu znane są od zapał historii, choć początkowo trudno mówić o ich świadomym obliczu społecznym czy klasowym.

Inaczej już miała się rzecz pod tym względem w XVII wieku, ale też nie można powiedzieć, czy ucisk feudalny był jednym i rzeczywistym źródłem licznych buntów chłopskich na Podkarpaciu w dobie kontrreformacji. Wiadomo bowiem, że w okresie powstania Kostki Napierskiego kolportowane były na Podhalu odezwy Chmielnickiego, że od dawna buntom chłopskim w Beskidach sprzyjał Węgrzy, którzy udzielali schronienia zbiegom, a nawet ich wspomagali w walce. Bardzo znamienny jest także fakt, że na czele zbuntowanych chłopów i kompanii zbójniczych nie stali najbardziej wsi, lecz ludzie zamożni: synowie szlachty, wójtkowie, organicy, często dość wysoko wykształceni jak choćby Kostka Napierski, Ondraszek z Janowic, soltys Żelowski i in. Nawet opromieniony wspaniałą legendą Juraj Janosik nie pochodził, widać, z biednej rodziny skoro rodzice mogli go wykupić od wojska.

Śa to fakty, obok których nie można przejść obojętnie przy badaniu źródła zbójnictwa karpacciego. Nie można również pomijać problemu walk religijnych w dobie reformacji i kontrreformacji. Nasielenie ich właśnie na Podkarpaciu i w południowej Polsce w owym czasie było ogromne, długotrwałe i miało przebieg ostry. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że był to czynnik równoważący się z innymi, uważanymi dotychczas za pierwszorzędne.

Szczególnie groźnym rozbójnikiem był Maciej Kalinowski, który zabił w Rabczycah ks. Borowicza pochodzącego z polskiej Orawy, a także napadł na Orawkę w czasie, gdy odbywał się odpust. Książd Szczehowicz, rodem z Podhala, zdolał się uchronić prawdopodobnie dzięki posiadaniem glejtowi od Ferdynanda III, który przedstawił groźnemu rozbójnikowi. Napad skończył się tylko na obrabowaniu kramów i porwanu krewnej soltysa Bukowiń-

skiego, nobilitowanego w 1672 roku. Maciej Kalinowski podobno obrabował również króla polskiego, Jana Kazimierza, w czasie jego przejazdu ze Śląska do Lwowa na przełomie roku 1655/56, który to czyn spotkał się z ostrą krytyką miejscowej ludności, nawet ludzi związanych z Kalinowskim.

Jeszcze kilkadziesiąt lat później zbój-nictwo na Górnjej Orawie było bardzo silne i zadziorne, skoro w Orawce ośmielono się zaatakować oddziały polskie, powracające spod Wiednia. Nie wiadomo dokładnie z jakiego powodu, chlopi w Orawce podpiszyli sobie nieco, napadli i obrabowali oddział pana Skopińskiego z dwiżylj Lubomirskiego. Z protokołu umowy, jaki spisano we dworze w Rabce 27 lutego 1685 roku wynika, że chlopi napadli na Skopińskiego za namową Tomka Maryniaka, gospodarza, u którego nocowali i obrabowali go naprzód z armaty, pistoletów y szable, gwałtownym y rozbojnym sposobem do puski tedney sprowadzi, siekierami, berdyzami do szpie przymierali y cela zabić na śmierć chcieli niewinnie y bez dania najmieszey. A gdy się im jm, pan Skopiński pokornie prosił, żeby go zdrowiem darowali, przystać mu kazali, iako się tego upominać nie miał, y rotę mu przysięgł według swoich wymysłów powiadał, berdyzami mu do szpie przymierając. Potem zrabowawszy go z pieniedzy y wszystkich rzeczy, co miał przy sobie, z sakwami y zdobywszy kupney tureckiej, rzekomo mu drage ukazując, któredyby miał ze wsi iachac, w las go gęsty w zasy y zamieczy uprowadzili, tamże znowu wymyślił nad nim y zabić go chcieli, cobuy usz był wykonali, gdyby był teden z tychże rozbójników (znać że od P. Boga natchyniony) od tak zlego nie odwidł ich uczynku.

Nbardziej popularna wśród tutejszego ludu postaćia zbójnika jest oczywiście Janosik, zrenka Orawianin tyle że pochodzący z południowych krain tej ziemi. Młodzi i starzy, słuchający lub czytający z zapartym tchem opowieści i pieśni o dobrym zbójniku, zadziwiająco niezwykłą siłą i zręcznością. Bo jakże! Janosik występował przecież w obronie pokrzywdzonych, których nigdy nie brakowało i chyba brakować nie będzie; był mądry i nieomylny w działaniu, zwalczając przestępstwa, sądził, karał lub nagradzał ludzi zgodnie z własnym, i zarazem ludowym poczuciem sprawiedliwości.

Nie roszczę sobie tu pretensji do szerszego omówienia tego zagadnienia, chciałbym jednak zwrócić uwagę na kilka faktów w orawskiej literaturze, znajdujących potwierdzenie w dokumentach o charakterze ogólnopolskim. Zbójnictwo jako forma oporu ludności góralskiej przeciw uciskowi feudalnemu pojawiło się w posiadłościach królewskich z końcem XVI wieku, a największe nasilenie osiągnęło na przełomie XVII i XVIII wieku, ale przecież organizacje zbójckie działały po obu stronach ówczesnej granicy polsko-węgierskiej już znacznie wcześniej. Do ich powstania przyczyniły się wyprawy czeskich husytów na Słowację od 1428 r. oraz o 5 lat późniejsza wielka wyprawa na Spisz i spalenie Kieżmarku. W okresie wojen domowych na Węgrzech werbowano najemników spośród Czechów, Morawian, a także i Polaków, Niemców, Węgrów, Ukraińców, Słowaków. Najemnicy ci — pod wpływem husytyzmu — organizowali się we wspólnoty tzw. braciśków i zakładali obozy wojskowe zwane taborami albo syjonami. Jednym z głównych przywódców braciśków był Piotr Aksamit, który podporządkował sobie w latach 1453—1458 Spisz i okolice terytoria. Gdy jednak król Maciej Korwin opamiętał sytuację na Węgrzech, zaczął likwidować taboru braciśków, których resztki zmieniły się w bandy rozbójnicze. Z tego to okresu pochodzi list braciśków do mieszczan Bardiowa, w którym braciśkiny domagali się, by w ciągu trzech niedziel złożono im w klasztorze w Mogile pod Krakowem lub w Lechnicy 400 zł w złocie okupu za powieszenie w 1494 r. ich towarzyszy „ludzi dobrych a niewinnych”, grożąc

Trzeba zdać sobie sprawę, czym w owe dni było choćby usuwanie nawiązania kontaktów z ofiarami gestapo, by zrozumieć poświęcenie młodej kobiety. I jej rozpacz, gdy nie mogła czegoś załatwić po myśli, gdy nie mogła pomóc...

Powołanie Rady Głównej Opiekuńczej w Nowym Sączu — instytucji, która miała pewne uprawnienia do pomocy więźniom politycznym — umożliwiło Jadze jeszcze śmielsze zabieganie o ludzkie sprawy. Kwestowała po domach, po wsiach, zbierając na mały wózek co się dało: odzież, lekarstwa, żywność. Doprawiała „Eintracht” dla więźniów tak przemyślnie, aż kiedyś zainteresował się tym sam szef tutejszego gestapo, Hammann. Ale i temu Jaga odważyła się skakać do oczu w obronie swych podopiecznych!

Więzień gestapo z lat 1943—44, pan Markowicz, wspomina: *Trzasnęły otwierane drzwi. Stanęliśmy zelektryzowani w szeregu na wezwanie „Achtung”. W otwartych drzwiach naszej celi stanęła — o dziwo — żywa kobieta? Tuż za nią uśmiechnięty szatański cerber „Johanem” zwany. Patrzyliśmy na kobietę — zjawę w zdumieniu. To była Ona — kobieta pełna samozaparcia i poświęcenia, przedstawicielka RGO — organizacji społecznej pomocy więźniom, Pani Jadwiga Wolska.*

Opat z Szczyrzycza, dr Stanisław Kiełtyka: *Byłem świadkiem w biurze RGO, jak sama pakowała, nosiła i zawsze znajdowała sposób, by te paczki trafiły do rąk adresatów. Pewnego razu szedłem z nią przez ulicę i p. Wolska omdlała pod ciężarem paczek. Musiałem ją cucić.*

Siostra Marii Ritter — nowosądeckiej malarki, najbliższej współpracownicy Wolskiej: *Jestem z szacunkiem i uznaniem dla bohaterkich czynów Jagi.*

Irena Styczyńska, nauczycielka: *Aresztowano mego brata, Jana Króla, w marcu 1944 r., a także jego kolegów-harcerzy Szarych Szeregów w Nowym Sączu, których skazano na śmierć przez rozstrzelanie. Pani Jadwiga osobiście dostarczała RGO-wskie paczki żywnościowe do sądeckiego więzienia, starała się kontaktować z więźniami, przynosząc dla nich wiadomości od rodzin i odurłatnie, co w owych czasach było niezmiernie ważne...*

Może te opinie są nieobiektywne, podrykowane wdzięcznością? Więc przypomnijmy zaświadczenie, wystawione przez powiatowego pełnomocnika PCK w grudniu 1947 roku. Mowa w nim o tym, że Jaga współpracowała z PCK od 1940 r. do zlikwidowania oddziału, że w 1941 r. objęła kierownictwo miejskim oddziałem RGO, że z końcem 1944 kilkakrotnie osobiście interweniowała na gestapo. Kończy się to zaświadczenie znamienym zdaniem: *Osoba o wielkim sercu, bezinteresowna, poświęcająca się bez granic dla wszystkich, bez względu na ich pochodzenie, stanowisko i wiek.*

Jaga nie wahała się zorganizować pomocy nawet dla Żydów, co w owe czasy wymagało szczególnej odwagi. A lekarz Jadwiga Jabłońska — pisała: *Dzięki pomocy p. Wolskiej otrzymałam przydział leków, które częściowo kierowane były do lasu.*

Znany nowosądecki filolog, prof. dr Eugeniusz Pawłowski, zawiódł osobistej interwencji Jagi zwolnienie je-

go chorowitej żony od prac przy okopach. Władysław Stendera — obecny dyrektor ZNTK — o działalności Jagi słyszał najbardziej wzruszające słowa w więzieniu celi.

I jeszcze jedno zaświadczenie. Z czerwca 1948 r. Komitet Powiatowy Polskiej Partii Robotniczej w Nowym Sączu zaświadcza, że ob. Wolska Jadwiga czynnie i społecznie pracowała podczas okupacji niemieckiej. Z pracy ofiarnej jest ona znana szerokiemu ogółowi na tut. terenie, podczas okupacji niemieckiej w wielu wypadkach z narazem pozbawienia wolności pracowała dla więźniów politycznych, wdów i sierot po pomordowanych przez okupanta, zawsze i wszędzie, gdzie tylko miała okazję, starała się użyć w ciężkiej niedoli znajdujących się obywateli polskich.

Bezinteresowność, ofiarność... Czy nie miała Jaga żadnych słabości? A jakże! — miłość do dzieci. Dla nich właśnie, dla kilkudziesięciu bezdomnych chłopców stworzyła w końcu 1943 roku zakład, dla którego sobie tylko znanymi sposobami zdobywała odzież, żywność, organizowała tajne nauczanie.

Nie była aniołem — podobno umiała kłąć i unosić się czasem wprost krzyżem, nawet na hitlerowców, których jej kulawa niemczyzna i ostre słowa w połączeniu z urodą... bawiły i rozbrajały. *Wady Jagi były jej zaletami* — powie po latach Ewa Fryś-Rużajska, współpracownica Wolskiej z RGO i jej najbliższa przyjaciółka do ostatnich dni.

Dwukrotnie aresztowano Jagę za jej niewyparzony język i nieustraszone działanie. Wracala do pracy (miała to szczęście) niepokorna jak przedtem, nieugięta.

Zachował się album-sztambuch z tamitych lat. Czarne karty, białe litery, pozółkłe fotografie. Dobre, ciepłe słowa kierowane do Jagi, zdjęcia... Pracownicy MKOP w Nowym Sączu, październik 194... Kochanej i niezapomnianej Matce Nowego Sącza G. Wasiakowa. Na pamiątkę chwil spędzonych w biurze Delegatury, z którymi łączą się moje najmilsze wspomnienia — Zosia K. Na półkolonniach dla 1500 dzieci. Lipiec — sierpień 1940. Tak długo marzyłam o pracy pod kierunkiem Pani, a tak krótko danym mi było — Ika.

Niewiele tylko osób wiedziało, że Jaga spala się ponad siły swego wąskiego od dziesiętnia organizmu. Oddawała siebie innym bez reszty — tak bez reszty, że gdy nastal wreszcie czas pokoju, choroba płał Jagę już tak daleko się posunęła, że nie pomogły żadne starania, serdeczna pomoc władz z poszczególnych ludzi, opieka lekarzy z sanatoriów Zakopanego ni Otwocka. Zmarła 19 października 1949 roku i — jak chce legenda — jedne z ostatnich jej słów brzmiały: *Żyć jest warto wtedy, gdy się pracuje dla innych.*

Została po Jadze pamięć tych, którym pomagała. Wzruszające pamiątki, księga zapisana wspomnieniami. Drużyna harcerska w nowosądeckiej szkole odzieżowej nosi jej imię, imię Jagi nadano też jednej z ulic na Wólce. W Roczniku Sądeckim, w kilku czasopiśmie ukazały się publikacje Jadze poświęcone, ma też znaleźć swe miejsce w Słowniku Biograficznym PAN.

Została w Nowym Sączu piękna legenda o „anielu opiekuńczym” — Jadwidze Czerniejewskiej-Wolskiej.

# Babiej Góry

Opowieści Janosikowych spotyka się na Górnjej Orawie mnóstwo i po dzień dzisiejszy są bardzo popularne. Jednak przy ich dokładniejszym badaniu okazuje się, że mamy tutaj do czynienia tylko z ciekawym nagromadzeniem wielkiej ilości wariantów wokół kilku wątków. Janosikowe opowieści, podania, anegdoty i piosenki układają się w schemat: konflikt z ekonomem i pójście na zbroj, zdobycie magicznych przedmiotów, wyjątkowa siła i przemysłność, pomysły egzamin zbrojniczy i objęcie hetmaństwa nad drużyną, gwikierunkowa działalność: Janosik pokroczył bogatych i dobroczynca biednych, i wreszcie honorowa i bohaterka śmierć sławnego hetmana na szubienicy (nie chciał skorzystać z łaski cesarzowej). Poza ramy tego ogólnego obrazu wychodzi jedynie kilka opowiadań. Jedno z nich mówi np. o ostrym psokromieniu baby, która urągając wypowiadała się o harnasiu, inne znowu o pomocy królowi lub cesarzowi w prowadzeniu wojny.

Uczywiście Górna Orawa ma również swoich własnych zbrojników i bohaterów. Na przykład w Lipnicy Wielkiej sporo mówi się o zbrojniku nazwiskiem Białoń. Miał to być człowiek niezwykle odważny i silny, bo oto za jedną noc potrafił zdebrać grube kierpece i za jedną noc oblecieć do Krakowa, miasta odległego o sto kilometrów! Miejscem jego ukrywania była Babia Góra. Miał nawet swoją „fratęrkę” — dziewczynę (a jakże!) i tu z nią żył. Gdy pewnego dnia ciężko zachorowała, bardzo zapagnęła posługi kapiąńskiej. Białoń odwdził ją od tego, ale ona nie ustępowała — mówiła, że jedynie duchowny może jej przywrócić zdrowie. W końcu hetman poszedł po księdza Baka. Proboszcz okrutnie przestraszył się znanego zbrojnika i stanowczo odmówił pójścia do Babiej Góry. Więc Białoń wszadł go do worka i zaniósł do chorej. Po tej wycieczce kapiąńskiej frajerka hetmana ponoć rzeczywiście wyzdrowiała, Białoń zaś tak bardzo się ucieszył, że posłał księdzu kocioł pieniędzy, za które zbudowano kościół, a sam kocioł na piąmiętkę wmurowano w ścianę. Zaś ciupage, której zbrojnicy zapomniał na plebanii, niedługo potem wzięto do muzeum w Rużomberku.

Na „chodnicę poza bucki” zaprowadził Białonia sprzączka z hajdukami, kotremu, podobnie jak Janosik, odpowiedział pięścią (zob. opowiadanie

Przecho Białoń poszedł zbrojować w: Opowieści ludu orawskiego opracowanie moje — A. J.). Stało się tak zapewne w czasie pracy na pańskim. Wiadomo bowiem, że obywatele Górnej Orawy w owym czasie odrabiali pańszczyznę aż w Orawskim Podzamku.

Znamienne, że wśród opowieści zbrojniczych na Górnjej Orawie spotyka się również sporo takich, które świadomości rozwiewają nimb zbrojniczej nieskazitelności i sławy. Są to przeważnie anegdoty, w których zbrojnicy — dokładnie: rozbojnicy — jawią się jako niesamowicie tchórze, pozbawieni siły, od-



Fot. CAF — MOMOT

wagi i przemysłności. W konfrontacji na przykład z biednym chłopem, który przypadkowo natrafił na ich skarb i przywłaszczył go sobie, wychodzą zwykle pokonani, ba, nawet uśmiechnięci. Nie inaczej dzieje się w opowiadaniu, w którym niedorozwinięty umysłowo parobek, traktowany nawet przez najbliższych jako popychadło, nagle — znalazłszy się w niebezpieczeństwie — z dużym powodem wodzi za nos całą rozbojniczą drużynę, tak że w końcu zmuszona jest ona obdarzyć domniemanego moczara sporem bogactwem, a sama przenieść się do innej, nieznannej kryjówki.

Jest jednak charakterystyczne, że opowiadania takie nigdy nie mówią o Janosiku czy ludziach mu bliskich; pozostać słynnego harnasia pozostał lud orawski bez skazy.

W odrębny zespół wątków układają się opowiadania zbrojnicze o skarpace. Zwykle są dokładnie lokalizowane w miejscu znanym dobrze gawędziarzowi i słuchaczowi i mają charakter podań. Wiara w zbrojnicze skarby ukryte w Babiej Górze lub okolicznych wzgórzach przez Janosika lub inną drużynę zbrojniczą była dawniej dość powszechna, a gdzieś — gdzie jest jeszcze do dzisiaj żywa. Nie wątpił wyobraźni i marzenia tułającego ludu o zdobyciu nieoczekiwano bogactwa pobudzała nędza, która długo panoszyła się na tych terenach. Niestety, trudno te skarby nawet zobaczyć, bo „dukaty” zbrojnicy zaprzysięgli i oddali w opiekę demonom. A to dlatego, żeby żaden z towarzyszy nie

i skole, co trzeba było hikiem uciekać.

Znany działacz orawski, kononik Józef Buroń, jeszcze przed kilkoma laty usiłował mnie przekonać, że ostatnim zbrojnikiem na Górnjej Orawie był Jazwik z Piekielnika. Zapłano go w 1860 roku w dziupli drzewa w okolicznych lasach, gdzie też ukrywał spore zapasy suszonego mięsa i innych artykułów żywnościowych.

Trudno już dzisiaj dokładnie stwierdzić, czy był to zbrojnik, czy też rozbojnik, czy może po prostu pospolity złodziej, jakich w owych czasach nie brakowało również na Podhalu. Nie sposób także zgodzić się z twierdzeniem, że był to „ostatni” zbrojnik, chociażby w szerokim znaczeniu tego słowa. Historia bowiem uczy, że z różnymi formami rozbójnictwa mieliśmy do czynienia nie tylko od niepamiętnych czasów, z większym lub mniejszym nasileniem, ale że spotykaliśmy się z nim jeszcze i w okresie drugiej wojny światowej.

Mówiąc o różnych przejawach zbrojnicztwa, chciałbym jeszcze wspomnieć o poważnych rozruchach społecznych, jakie miały miejsce na Górnjej Orawie w okresie pierwszej wojny światowej. Otóż pod wpływem hasła Rewolucji Październikowej, które przynosił do orawskich wiosek żołnierz powracający z frontu wschodniego, chłopci masowo napadali na wyszkiwaczy, którymi tu najczęściej byli sklepikarze i wójtowie. Gadka *O notarowi i starym Walkowi* (zob. *Opowieści...*) opowiada o nocnej ucieczce z Lipnicy Wielkiej węgierskiego wójta. Jego zaś majątek, którego się dorobił we wsi w czasie wojny w sposób nieuczciwy, został przez chłopów skonfiskowany na drodze.

Reasumując nasze rozważania, należałoby podkreślić, że — jak wynika z orawskiej literatury ludowej — tamtejsi zbrojnicy napadali na różnorodne obiekty wokół — więc zarówno na zamki w Dolnej Orawie i na Śląsku, jak i możliwe domy w Krakowie — a nie jedynie na „stronę węgierską”, jak się to zdaje sugerować w swoich utworach Kazimierz Tetmajer i inni podhalanscy pisarze. Drugą charakterystyczną cechą tego zbrojnicztwa było to, iż w okresie swego największego nasilenia (XVII wiek) na czoło wysuwało nie walki społeczne, ale religijne. Nie udało mi się znaleźć ani jednego opowiadania o zbrojnikach, w którym wybijałyby się elementy zmagnięć politycznych czy choćby pogranicznych. Możliwe, że Górna Orawa w owym czasie — położona na uboczu i słabo zaludniona — wolna była od tego typu konfliktów.



Bogaty jeden kupiec wybierał się za morze zawieźć polską pszenicę do dalekich krajów, gdzie się ona nie rodzi. Żegnając się na wsiadaniu z dwiema corkami swymi, żeby je pocieszyć we łzach, pytał, jakiego by gościnka zza morza pragnęły.

— Ach! ojcze drogi! — wykrzyknęła starsza, krasna i pyszna jak róża w pełni rozkwitła — przywieź mi piękny sznur pereł, żebym nim warkocze sobie plęść mogła.

— Dobrze będziesz je miała — rzekł ojciec. — A tyż, biała moja lilio! czego zapragniesz zza morza?

Ja? moj ojcze! — odpowie młodszą — nie mam nic takiego na myśli, czego bym osobliwie pożądała. Ale jeśli koniecznie mam cię o coś prosić, oto słyszałam nieraz od ludzi że za morzem rosną niebieskie róże, które nigdy nie więdną — przywieź mi, jeżeli znajdziesz, taką jedną różyczkę, co ja we włosy plęść będę mogła.

— Dobrze kochany kwiateczku! jeśli gdzie tylko różę taką znajdzie, zerwę ci ją własną ręką.

I ucałowawszy raz jeszcze czoła córek, ojciec wsiadł w łódź wielką na Wisłę, która go wnet z wodą ku morzu poniosła... Córki długo stały na piaszczystym pagórku, to ocierając chusteczkami łzy z oczów, to wiewając nimi w powietrze; aż gdy im łódź zupełnie za lasem znikła z widoku, odeszły zaplakane do domu, modląc się o szczęśliwą podróż dla ojca.

Kupiec szczęśliwie przepłynął Wisłę i na dalekim brzegu sprzedał swoją pszenicę. Uradowany zarobkiem, mając się ku odjazdowi począł myśleć o gościncach przyrzeczonych corkom. O perły nie było mu trudno, rosną one na dnie morskim jak u nas groch na polu, tylko dać nurka i rwać je — za tani grosz kupił sznur jak bicz długi, a takich wielkich jak gołębie jaja. Ale o niebieską różę na próżno się wszędzie dopytywał, nikt jej nie dostać jej nie mógł. Od ludzi dowiedział się, że róże takie rosną tylko na jednej pustej wyspie wśród morza, gdzie jednak, dla skał strasznych i miazg pod wodą, żaden okręt nie pływa, chyba przypadkiem zapędzony.

Przykro mu było, że prosbie ulubionego dziecka nie mógł zadość uczynić; ale gdy nie było innej rady, kazał jej za to wysadzić różyczkę z samych niebieskich turkusików, o złotych listkach i gałązkach, żeby ją zamiast prawdziwej we włosy zapląkać mogła.

Niebawem wsiadłszy na łódź odplynął kupiec na powrót ku domowi. Już był szczęśliwie połowę prawie drogi upłynął gdy nagle jednego wieczora zerwała się sroga burza i wiecher. Cała noc morze rzucało wiatr lodzi jak piłka, a wiatr portargawczy żagle, pędził ją w zupełnie nieznanym kierunku. O poranku dopiero ustatkowała się burza i uradowani podróżni ujrzeli się w ci-

chym ustroniu, przy jakimś obcym brzegu, na którym wśród czarnego jodłowego boru wznosił się zamek ogromny.

Podczas kiedy służba okrętowa wzięła się do naprawiania żagli i masztów, nocną burzą uszkodzonych, kupiec sam w maleńkim czółenku popłynął do ładu, a uwiązawszy ją do nadbrzeżnego drzewa, szedł sobie prosto ku zamkowi.

na oglądaniu licznych pokojów wrócił znów do wielkiej sali.

Z niemałym podziwem zobaczył, wstępując do niej, w komynie błonący oień, a stół zastawiony srebrnymi czarami z winem i polmiskami, z których dymyły się przepyszne ryby i raki morskie. Nie wiedząc, co to znaczy, obejrzał się ciekawie, czyli kto nie wnijdzie, gdy wtem wzrok jego padł na wielki napis ponad stołem:

„Używaj miły gościu, i nie trwój się niczym.”

Wygłodzony, słowy tymi ośmielony, pomimo całego zadziwienia zasiadł wnet za stół. Posiłony podziękował niewidzialnemu gospodarzowi i wyszedł z sali przywierając za sobą podwoje, jak je był zastał.

Wyszedłszy na podwórzec ujrzął po jednej stronie żelazną kratą oddzielony słiczny ogród, a w nim... o radości!... krzew róż niebieskich w pełni kwicia. Wspomniałszy sobie obietnicę, córce uczynioną, pośpieszył do ogrodzenia, a nie znajdując w nim otwartego wnijscia przełaził je snadnie i począł z krzewa pilnie zrywać kwiaty, aż je w jeden przedudny bukiet zgromadził.

Lecz jakież było jego przerażenie, gdy wtem poczuł na ramieniu ciężkie uderzenie, a odwróciwszy głowę zobaczył za sobą straszną postać, całą jak niedźwiedź kosmatą, z krzywymi rogami na białych dziecimi kłami w pysku.

— Ha! niegodziwcze! — zawołało straszycie — tak mi się za gościnnie przyjęcie odpłacasz? Wdzierasz

# STRASZNY POTWÓR

(baśń)

Dochodząc do niego zdziwił się, że do wjazdowego mostu nie wiodła żadna droga ani nawet ścieżka wpośród bujnie zewsząd zarastającego boru; tym dziwniej jeszcze temu było, gdy minąwszy most i wszedłszy do otwartej na oścież bramy, nie znalazł około niej żadnej strażi, żadnego żywego człowieka.

Kupcowi wśród tego wspaniałego pustkowiata i milczenia ciarki aż przeszły po ciele; sam nie wiedział, co począć, zostać czy uchodzić. Że jednak nie miał co czynić ze sobą przez cały dzień, przemógł się uczucie grozy, postanowił obejrzyć zamek opuszczony.

Widząc drzwi potężne głównego gmachu nieco uchylone, do niego naprzód się zwrócił. Przepastwyszy przez próg, ujrzął się w wysokiej i przestronnej sali, oświetlonej długim rzędem wysmukłych, różnobarwnych okien. Podłoga była z czerwonego kamienia, a ściany z siwego ciosu. W środku wznosił się długi stół, kobiercem bogatym okryty, w którego jednym końcu stał tron złoty pod czerwonym baldachimem, a wokół krzesła rzeźbione. Ściany całe od dolu do góry świeciły się od helmów, panczerzy i tarcz, sklepienie znowu jeżyło się od mnóstwa jelenich rogów, od wielorybich szczek i starych, w szmaty popadanych chorągwi.

Obejrzawszy to wszystko kupiec szedł do dalszych komnat wszędzie w nich napotykał królewski przepych i tysiące drogich a rzadkich rzeczy. Kilka godzin przepędziłszy

mi się i niszczysz, co mam najmilszego!... Czekał, nie ujdzie ci to bezkarnie!

Struchlały kupiec począł na uniewinnienie swoje opowiadać obietnicę ukochanej córce uczynioną i pukornie przepraszając błagał przebaczenia. Straszny potwór odpowiedział:

— Dobrze! daruję ci szkodę i wypuszczę stąd żywo, ale przysięgnij na zbawienie duszy twojej, że powróciwszy do domu przywieziesz mi tu zaraz tę córkę swoją i zostawisz ją samą w zamku przez cały rok. Nie bój się o nią — ja ci znów przysięgam, że jej najniejsza nie stanie się krzywda.

W kilka tygodni łódź kupca stanęła przy zielonym brzegu Wisły popod sosnowym, wybielonym dworkiem, w którym dwie stęsknione córki powrotu ojca wyglądały. Kiedy na zapytanie córek ojciec oddał im przyrzeczone goścince, nie tyle ucieszyła się starsza perłom drogim, ile młodszą cudnemu bukietowi wonnych, świeżych, niewidzialnej barwy róż, które zaraz we włosy sobie wplotła.

— Moje kochane dziecko — rzekł kupiec widząc jej radość — nie ciesz się nimi tak bardzo! Bodajbyś ich była nigdy nie zażądała albo ja nie znalazł!

I opowiedział jej wszystko, co go w pustym zamczysku spotkało, aż żądania straszego potwora i swo-

jej przysięgi. Spozrzęglwszy jednak bładość nagłą swej Jadwisi dodał: — Nie obawiaj się przecież, żebym ja cię namawiał do spełnienia mej nierozważnej przysięgi.

Ale dziewczyna, która już w sercu swym, co czynić postanowiła, rzuciła się ojcowi na szyję wołając:

— Nie mów tak! nie mów drogi ojcze! Cóż ja bym za córka była, żebym przysięgi twojej wypełnić nie miała?

Straszny potwór, jak tylko przybywających do brzegu gości zobaczył, wyszedł przeciw nim aż do samej bramy zamku. Córka kupca ujrzawszy go, tak się niesłychanie wylekła, że drżała w sobie jak liść osiczny; żeby jednak oszczędzić ojcu większego zmartwienia, jak mogła zdobywała się na odwagę.

Tydzień cały gościł kupiec w zamku; przez cały ten czas potwór zachowywał się tak grzecznie i łagodnie, że kiedy przyszło do odjazdu, niebogi ojciec jeśli nie bez ścisnienia serca, przynajmniej bez obawy wielkiej rozstawał się z ukochaną córką, po którą za rok miał wrócić.

Wypłakawszy się do woli po ojcu, Jadwisia zaczęła rozveselać się, jak mogła, w samotności swej. Mimo to za kilkanaście dni tęskno jej się zrobiło za ludzką mową. Straszny potwór nie był nic a nic do ludzi podobny, ale mówił jak człowiek istny. Znudzone dziewczę — w pół chętnie odważyło się nareszcie zagwizdać na niego w srebrną piszczałkę, którą jej dał potwór, gdyby chciała go przywołać, wybrało jednak umyślnie do tego godzinę zmierzchu, kiedy nie widząc go, bez grozy słuchać mogła.

Potwór umiał tak doskonale zająć ją powiesciami i rozmową swoją, że odtań każdego wieczora wolała go do siebie — a pomalutku odważyło się wreszcie mówić z nim po dniu, odwracając tylko głowę od niego. W miesiącu mogła już patrzeć nań bez trwogi i nawet za stół przy sobie sadzała.

Minęła nareszcie zima i nadeszła ciepła wiosna, a potworem tak nasyła dnie całe z dziesięciu trawic, że gniewała się, jeśli którego poranku sam nie przychodził i wolać go musiała. Chociaż w towarzystwie jego miło i prędko czas jej zbiegł, pilnie jednak zaczynała nad swym łóżeczkiem każdy dzień, licząc ile ich jeszcze zbywa do końca roku.

Rok nie wieczność — prędko miał się ku końcowi. Im bardziej kres ten się zbliżał, tym smutniejszym z każdą chwilą stawał się straszny potwór, ale Jadwisia w radości swojej ani tego nie widziała.

Już tylko trzech dni do końca roku brakowało, kiedy wstawszy ranitko wybiegłszy do ogrodu znalazła straszego potwora smutnie siedzącego pod krzewem niebieskiej róży i zalanego po kudłatym pysku bujnymi jak rosa łzami.

— Coż ci tu? moj straszny potwore! — zawołała. Powiedz! Może ci ja ci pomogę.

On podniósł łeb ku niej milcząc, patrzył jej smutno w oczy, wreszcie odpowiedział wzdychając:

— Bo mnie niedługo na zawsze porzucisz, a ja cię kocham, Jadwisiu!

Płochą dziewczucha wybuchła na to tak hucznym śmiechem, że o mało na ziemię nie padła; potwór sycząc to jęknął boleśnie i uciekł skryć się w gestej zarośli. Próżno go potem wolała i gwizdała w srebrną piszczałkę. Dopiero kiedy łódź kupca pojawiła się u brzegu wyszedł ze swego ukrycia na powitanie i przyjęcie gościa.

W dzień Jadwisinego odjazdu straszny potwór zastawszy ją samą w pokoju tak do niej przemówił:

— Moja ty śliczna Jadwisiu! Jedziesz już daleko za morze. Przebac mi, proszę, zuchwałstwo moje, że potwór taki, śmiał pokochać ciebie, a wspomnij o mnie czasami. Jeżeli kiedy, wspomniawszy zechcesz wiedzieć, co się tu w mą dzieje, masz tu oto jabłko korallowe: jak będzie bladło, poznasz, że m-

chory — jak całkiem pobieleje, że umieram z tęsknoty za tobą. — gdy-bys kiedy odwiedzić mnie chciała, wóóz ten żelazny pierścień na palec i wnet znajdziesz się na tym brzegu.

Dziewczyna, chociaż śmiała się z miłości potwora, ze łzami w oczach przyjęła jego dary i żegnając go serdecznie odwiedzić jeszcze przyrzekła.

Po całym długim roku samotnego wygnania Jadwisia wrociwszy do domu nie posiadała się z radości. Ale kiedy przeszły pierwsze chwile radosnego uniesienia i wszystko znowu powszednim jej się stało, sama się sobie wydziwił nie mogła, że w domu ojca nie czuła się tak szczęśliwą jak w pustym zamorskim zamku, że z nikim czas jej tak błogo, mile i prędko nie mijal jak z tamą straszną poczwara. Westchnęła nieraz serdecznie nad biednym potworem z nudy i miłości samotnie tam wędrującego, i często gęsto zaglądała do koralowego jabłuszka.

Jabłuszko co dzień stawało się bledsze i Jadwisi coraz ciężej było na sercu. Nareszcie jednego ranka znalazła je całkiem białe.

— Umiera! dla mnie umiera! — krzyknęła złośnie — o ja-nieszczęśliwa!

A wtem wzrok jej padł na żelazny pierścieńek, na sznurku pysznych barsztyńców u szyi wiszący. Zerwała z całej siły sznurka a pierścień włożyła na palec.

W tej chwili zaczęło się jej w oczach i w myśli, wpadła niby w sen, w którym czuła, że ją coś przez powietrze niesie... Nagle zbudziła się na zielonej murawie, tuż pod murami znanego sobie zamczyska. Zerwawszy się pobiegła do środka, wolając z całych sił strasznego potwora.

Obiegłszy próżno wszystkie kolumny zamkowe spieszyła szukać do ogrodu. I oto tutaj, pod tą samą różą niebieską, gdzie jej miłość swoją wyznał, leżał biedny potwór, schudzony i wynędzniały, z zamkniętymi oczami, bez tchu zimny wszystkich.

— Zbudź się! Zbudź! mój straszny potworze! Ja tutaj jestem przy tobie!.. Zbudź się, a będę cię kochać. Będę twoją całe życie!.. — wołała i w żalu do kudłatego pyska przytuliwszy białe lić, złożyła na nim gorące pocałowanie.

I wtem — o dziwo! potwór zerwał się z ziemi — lecz nie był to potwór straszny, tylko piękny, choć trochę znędzniały młodzieniec! Jadwisia nagle przemianą przerażona, aż odskoczyła od niego; ale on schwył jej rękę i klękając przed nią mówił:

— Nie bój się, śliczna Jadwisiu! oto jestem ten sam straszny potwór — teraz miłością twoją z zaklęcia wybawiony król. Kiedyś mnie mogła kochać w tamtej brzydkiej skórze, kochajże teraz, jakim jestem.

A tymczasem w całym zamku roilo się od życia i gwaru.

— Patrz, ileś dobrego uczyniła poświęceniem twoim! — rzekł król wyprowadzwszy dziewczynę z ogrodu. Niedługo cała ludność miasta z chorągiewami przyszła na zamkowy podwórzec dziękować Jadwisi za wybawienie swoje i rzuciła jej się do nóg.

Nazajutrz złocisty okręt królewski odplynął śpiesznie za morze po kupca i starszą jego córkę, z zaprosinami na wesele.

Młody król i królowa żyli potem z sobą szczęśliwie i długo — a jeżeli nie pomarli, to pewnie dotąd jeszcze żyją.

## ROZMAITOŚCI

Redaguje Beata Dębowska

### Balzac - małżonkom

Mężczyzna, młody lub starszy, zakochany lub nie, na mocy kontraktu wciągniętego bez zarzutu do ksiąg w kancelarii mera, w parafii i w niebieskiej nabywa na własność młodą dziewczynę o długim jedwabistym warkoczu, czarnych i wilgotnych oczach, mikroskopijnej nóżce, drobnych i delikatnych paluszkach, koralowych usteczkach, ząbkach lśniących jak kość słoniowa, pełnej o gibkiej kibici, wypieszczoną jak laleczka, pobawną i drzącą ze wzniesienia; dziewczynę białą i niewinną jak lilii, a obsypaną przez naturę najbardziej kuszącymi woniami. Długie ciemne rzęsy przedziwnie łagodzą jęczący blask oczu; twarzyczka mieni się barwami białej i czerwonej kameli; dziewczica pleć ledwie widocznym puszkim przypomina owoc dojrzewającej brzoskwini; delikatna siatka żyłek zwiastruje ciepło krążące pod tą nieskalaną powłoką; cała postać pulsuje życiem i wabi życie ku sobie, oddycha rozkoszą i miłością promieniem naiwnością i wdziękiem. Młoda dziewczyna kocha męża lub bodaj wierzy, że kocha..

On, zakochany, myśli w tej chwili: „Te oczy tylko mnie widzieć będą w całym świecie, pod moim tylko uściskiem zadąży miłości nie słodkie usteczka, dla mnie ta drobna rączka chowa

drażniące skarby swych pieściot, ja jeden poruszę westchnieniem to dziewczę łono, ja pierwszy pobudzę do życia te uśpioną duszę. Po tych jedwabnych puklach będą się ślizgać moje tyłko dłonie, ja w godzinie upoju, składać będę na tej drżącej główce delikatne pocałunki. Przy moim łożu każę czuwać śmierci i bronić jego nieskolanej czystości przed niegodnym rabusiem; ten ołtarz miłości spłynie krwią zuchwalca lub moją własną. Na nim spoczywa mój spokój, cześć, szczęście; od jego czystości zależy honor nazwiska i los moich dzieci; tego ołtarza bronić będę jak lwica młodych. Biada śmiółkowi, którego stopa naruszy moje łogowisko!”

Dobrze więc, odważny zapaśniku, z serca przyklaskujemy twemu postanowieniu. Do dziś żaden geometra nie odważył się na morzu małżeńskim szczęścia wykreślić geograficznej szerokości i długości. Próżno wypytywałbyś osiwiałych mężów o niezliczone mielizny, rafy podwodne, skaliste wybrzeża, wichry, prądy, i huragony, na których rozbiły się ich lodzie; milczą, tak wstyd im własnego pogromu. Brak więc dotąd mapy, brak busoli pielgrzymom żeglującym po morzu małżeństwa...

## Złote myśli

Na posiedzeniach jest czasem jak na olimpiadach: ważny jest udział, a nie wynik. (szwajcarskie)

To nie tyrani tworzą niewolników, lecz niewolnicy tworzą tyranów. (francuskie)

Kto dokładnie wie, czego chce, powinien być na tyle mądry, by zadowolili się połową. (austriackie)

W pamięci uczniów najlepiej zapisują się błędy nauczycieli. (fińskie)

Nie nakładajcie plastra ze słów na dziury w eksperymencjach. (radzieckie)

Łatwe nagany i łatwe pochwały już niejednego człowieka zmarnowały. (staropolskie)

Stary biał ma więcej przyjaciół niż nowa prawda. (duńskie)

Potknięcia są mniej widoczne, gdy się na wszystkie strony kłaniaasz. (zasiłarskie)

Skoki po rozum do głowy też wymagają treningów. (sportowe)

Ekspert to ktoś, kto zna się coraz lepiej na coraz mniejszej ilości spraw. (zasiłarskie)

## Anegdoty

Gdy słynny twórca filmów animowanych, Walt Disney, otrzymał doktorat honorowy, nadany mu przez uniwersytet w Yale, pewien profesor powiedział: „Powiodło mu się to, czego nie potrafiły dokonać laboratoria doświadczalne zoologii i biologii. On dał zwierzętom duszę”.

Chory i głodny Mark Twain poprosił siostrę szpitalną o coś do zjedzenia i otrzymał od niej łyżkę kaszki mанны. Polknął ją i zwrócił się znów do siostry:

— A teraz, siostrze, gdy sobie podjadłem, poproszę coś do czytania. Może być znaczek pocztowy.

Szkot, McKenzie, jeden jedyny raz postanowił pojechać taksówką.



— Dostał wysoki awans, trzeba mu wyciąć poczucie humoru.

Rys. Szymon Kobylński

## Ciekawostki

**MGNIE NIE OKA.** Myśli nie jest tak oszalamiająco szybka jak by się nam zdawało. Przebiega ona z prędkością fali około 220 tys. km na godzinę, a więc — wolniej niż pojazdy kosmiczne. Dłużej niż sobie wyobrażamy trwa mrugnienie okiem, a mianowicie: dwie trzecie sekundy, podczas gdy fala radiowa używa na podróż dookoła świata tylko jedną trzecią sekundy.

**WONNY LUP.** Duńscy leśnicy sądzą, że nareszcie znaleźli sposób, aby zniechęcić ludzi do kradzieży choinek z lasów państwowych. Według jednego z leśniczych, pana Kanderberga, drzewka z północnej Jutlandii zostały

spryskane bezbarwną substancją, która powoduje, że skradzioną jodła po przyniesieniu do domu zaczyna wydzielać trwałe zapach przypominający woń wydzielaną przez skunksa w opalach.

**ZNOWU 2000 ROK!** Dwa dziesiątu czterech najwybitniejszych klimatologów przedstawiło swoje prognozy: jaki będzie klimat na kuli ziemskiej w 2000 roku. Okazuje się, że prawdopodobieństwo katastroficznej zmiany klimatu do XXI wieku jest bardzo nieznaczne. Do końca naszego stulecia klimat pozostanie taki, jaki zaobserwowano w ciągu ostatnich 40 lat, z większą możliwością globalnego ocieplenia niż ochłodzenia.

Nagle w czasie jazdy szofer odwraca się przerażony i powiada: — Jesteśmy straceni! Tam, na dole jest przepaść, a mnie się zepsuły wszystkie hamulce! —  
McKenzie ledwie i szepce: — Wyłęcz pan przynajmniej licznik!..

Pewna pani miała nadwagę, a że nie potrafiła oprzeć się pokusie i między posiłkami zaglądała do lodówki, więc przykleiła do wewnętrznej strony drzwi tej lodówki — fotografię pięknej, smukłej kobiety. To przypominanie podziałało cudownie. W miesiąc zrzuciła 5 kg nadwagi. Niestety, w tym samym czasie maż jej częściej zaglądał do lodówki i przybyło mu 7 kg.

(„Magazyn Polski”)

## Paragraf humoru

— Obronca przed sądem: — Mój klient przynal się do kradzieży tych pieniędzy. Dał tym dowód wielkiej szczerości i niezwykłej uczciwości. Czy tak uczciwy człowiek może być złodziejem?

— Co oskarżony powiedział w chwili aresztowania?  
— Czy mam powtórzyć także wyrazy nieprzychylności?  
— Nie, proszę je pominąć.  
— To ja nie nie powiedziałem, proszę Wysokiego Sądu...

— Bóg świadkiem, że jestem niewinny!  
— Za pozno mówić oskarżony o tym świadku, bo wszyscy świadkowie nie zostali już wezwani...



**PIATEK**

**PROGRAM I**

6.00-9.00 TTR, RTSS,  
9.00 Dla szkół, geografia, kl. 5 —  
1.00 Dla szkół: wychowanie oby-  
wackie, kl. 7;  
11.55 Dla szkół: wychowanie oby-  
wackie, kl. 8;  
12.25 Redakcja szkolna zapowiada;  
15.20 NURT;  
15.50 Program dnia;  
15.55 Obiektyw;  
16.15 Dziennik;  
16.30 Dla dzieci: „Kółko graniaste”;  
16.55 „Dzień dobry, w kręgu rodzi-  
ny”;  
17.20 „Rodzina Połanieckich” (6) —  
„Zdrada” — serial TP, reż. Jan Ryb-  
kowski;  
18.40 Radzimy rolnikom;  
18.50 Dobranoc;  
19.00 Telewizja Młodych przedstawia:  
1.1a przebojów księżkowych;  
19.30 Dziennik;  
20.10 „Wszystko za wszystko” z prof.  
F. Anciszkiem Kolbuszem;  
21.25 Teatr Telewizji — scena mono-  
dram — „Wszystko jest poezją” —  
Edward Stachura, reż. i adaptacja Woj-  
ciech Siemion;  
22.30 Dziennik;  
22.45 FilMOTEKA Arcydział: „Desperaci”  
— węg. film hist.-obyczajowy, reż.  
Miklos Jancso.

**PROGRAM II**

10.00 „Rodzina Połanieckich” (6) —  
„Zdrada” — serial TP;  
11.30 Klub jazzowy Studia Gama;  
12.10 „Burakowie herbu Kolo” — re-  
portaż filmowy;  
12.30 „Ocalić od zapomnienia” — ju-  
bilusz Sandomierza;  
16.25 Jęz. francuski — kurs podst.,  
lek. 4;  
16.55 Jęz. rosyjski — kurs podst.,  
lek. 4;  
17.30 Program dnia;  
17.35 Dla dzieci: „Wielka, niebieska  
kula”;  
18.00 Klub jazzowy Studia Gama;  
Sonny Rollins na festiwalu „Jazz Jam-  
borneo 80”;  
18.40 Małe kino — polskie filmy ani-  
mowane:  
19.00 Piosenki tygodnia;  
19.10 KRONIKA (KR);  
19.30 Dziennik;  
20.15 „Gdzieś w małym miasteczku”  
(1) — serial TV francuskiej;  
21.30 24 godziny;  
21.45 „Burakowie herbu Kolo” — re-  
portaż film.  
22.10 „Szanujmy wspomnienia” —  
The Platters”;  
23.00 Język francuski kurs podst. —  
lek. 4.

**SOBOTA**

**PROGRAM I**

8.55 Program dnia;  
9.00 Dla dzieci: „Uwaga żółw” —  
radz. film przygodowy;  
10.20 Koncert muzyki staropolskiej;  
10.45 „Ocalić od zapomnienia”;  
11.15 „Kto ty jesteś czyli małe ora-  
torium na dzień dzisiejszy” — widowis-  
ko poetyckie;  
12.00 Koncert WOSPRIT;  
13.30 „I pójdę aż na koniec świata” —  
czesoch. film obycz.;  
14.10 „Poczet aktorów polskich” —  
Władysław Hańcza;  
15.00 „Klub 6 kontynentów”;  
15.50 Opera miesiąca: Claudio Mon-  
teverdi — „Orfeusz”, cz. I;  
16.50 „Mayerling” — francusko-angi-  
elski melodramat hist. reż. — Ter-  
rence Young;  
19.00 Wieczorynka;  
19.30 Dziennik;  
20.10 „Ostatni kabriolet” (3) — ame-  
rykański dramat obyczajowy;  
21.50 Teatr Telewizji — Jan Lechoń  
„Popiół i kwiat”, reż. Stanisław Za-  
jaczkowski;  
22.35 Elegia... — film dokumentalny;  
23.00 „Waszyngton za zamkniętymi  
drzwiami” (2) — amerykański dramat  
polityczny.

**PROGRAM II**

15.10 „Latarnik” — ekranizacja now-  
weł H. Sienkiewicza;  
16.05 „Wojna domowa” (14) — „No-  
wy nabytek” — serial TP;  
16.35 „Poeci recytują wiersze” — Ta-  
deusz Hołuj;



31.X-6.XI

19.55 „Aby do nas przylatywały” —  
polski film przyrod.;  
17.15 „Wciąż o tym samym” — pro-  
gram muzyczno-poetycki;  
18.00 „Morza muszą żyć” — ang. film  
przyrod.;  
18.55 „Czas bez imienia” — program  
poetycki;  
19.30 Dziennik;  
20.15 Ballady jazzowe;  
21.00 „Jastrzębi las” — film przyrod.;  
21.20 „Uspokojenie” — wid. poetyc-  
ko-muzyczne;  
21.50 „Na drugiej linii frontu” (1) —  
„Trudna jesień” — film historyczno-  
sensacyjny TV radzieckiej.

**TV BRATYSŁAWA**

**PROGRAM I**

12.15 Algier;  
12.55 Młode lata Karola Marksa (1);  
15.15 Spotkanie na Wycoszynie;  
15.55 Motor Czeskie Budziejowice —  
VSZ Koszyce;  
18.50 „A teraz się rozstrzygnie (4);  
20.00 Wielki program rewiowy;  
22.10 Twinky — komedia ang.;  
23.40 Przedstawiamy: Modus.

**NIEDZIELA**

**PROGRAM I**

7.20 TTR, RTSS;  
7.40 Nowoczesność w domu i zagro-  
dzie;  
8.10 Emerytury dla rolników;  
8.20 Telewizjada;  
8.55 Program dnia;  
9.00 Teleranek TDC,  
10.20 Antena;  
10.45 Piotr Paleczny gra Brahmsa;  
11.35 Dziennik;  
11.55 I liga piłki nożnej;  
12.45 Rolnicze rozmowy;  
13.15 „Przygody Sindbada” — „Przy-  
goda z latającym koniem” — jap. film  
anim.;  
13.40 Tylko w niedzielę;  
19.00 Wieczorynka;  
19.30 Dziennik;  
20.10 „Rok 1877” — francuski film  
hist., reż. Maurice Failevic;  
21.55 Sportowa niedziela;  
22.25 Tylko w niedzielę.

**PROGRAM II**

9.55 Tylko dla kibiców sportowych;  
10.55 „Pro memoria” — Film dok.;  
11.15 Przeboje tygodnia;  
12.40 „Życie na ziemi” — „Władcy  
wód” — film dok.;  
13.40 „Orfeusz i Eurydyka” — wa-  
rianty mitu;  
14.25 „Popołudnie fauny i flory”;  
15.05 Sportowa niedziela;  
16.05 „Jesienne kwiaty” — jugosl.  
film obycz.;  
18.00 Stereo i w kolorze — „Capella  
bydgostensis”;  
19.05 „Kraina ciszy” — progr. poet.-  
muzyczny;  
19.30 Dziennik;  
20.15 Teatr Telewizji: Erskine Cald-  
well — „Ziemia tragiczna”, reż. Janusz  
Zaorski;  
21.50 „Wrogowie” — dramat społ.  
prod. ZSRR; — ekranizacja dramatu  
M. Gorkiego.

**TV BRATYSŁAWA**

**PROGRAM I**

9.35 Teatr TV: Pożar Bubaków;  
10.55 „Decydujący front” (3);  
12.15 Nasz gość;  
14.45 Życie w przyrodzie;  
15.20 O ptasim domu i dzielnym pa-  
sterzu;  
17.10 Baron Prasil — film czeski;  
18.30 Wieczorynka;  
18.40 Komik i jego świat;  
20.10 Solo dla starszej pani — film  
CSRS;  
22.20 Recital fortepianowy P. Kova-  
cza.

**PONIEDZIAŁEK**

**PROGRAM I**

13.30-14.00 TTR, RTSS;  
15.20 NURT: role diagnoz w pracy  
wychowawczej;  
15.50 Program dnia;  
15.55 Obiektyw;  
16.15 Dziennik;  
16.30 Dla dzieci: „Zwierzyniec”;  
16.55 „Dzień dobry w kręgu rodzi-  
ny”;  
17.20 Klinika zdrowego człowieka;  
17.45 „Polskie drogi” (10) — „Himm-  
lerland” — ser. TP;  
18.40 Rolnicze rozmowy;  
19.00 Echa stadionów;  
19.30 Dziennik;  
20.10 Teatr TV: E. Caldwell — „Zie-  
mia tragiczna”, reż. J. Zaorski.  
21.50 Publicystyka międzynarodowa;  
22.20 Dziennik;  
22.35 Śledztwo zostało wznowione.

**PROGRAM II**

10.00 „Polskie drogi” (10) — Himm-  
lerland”;  
10.55 Klinika zdrowego człowieka;  
11.20 „Wystrzał” — film TP, reż. J.  
Antczak;  
12.35 Studio Bis;  
17.00 Studio Bis;  
19.10 KRONIKA (KR);  
19.30 Dziennik;  
20.10 Studio Bis;  
21.55 24 godziny;  
21.45 „Wystrzał” — film TP.

**WTOREK**

**PROGRAM I**

6.00, 6.30 TTR, RTSS;  
9.00 Dla szkół: język polski (kl. 6);  
9.55 Dla szkół: „Czerwone żółte, zie-  
lone” (kl. 1);  
12.50 Dla szkół: język polski (kl. 4  
lic) — J. Szaniawski — „Dwa teatry”;  
13.30 TTR, RTSS;  
14.00 TTR;  
15.50 Program dnia;  
15.55 Obiektyw;  
16.15 Dziennik;  
16.30 Telewizyjny Klub Seniora;  
16.55 „Dom i my” — mag.;  
17.15 Magazyn Telewizji Młodych;  
18.05 Interstudio;  
18.30 „Królik Bugs przedstawia” —  
film. anim.;  
18.50 Dobranoc;  
19.00 Świadkowie;  
19.30 Dziennik;  
20.10 Robotnicze sprawy: „Pod gwiaz-  
dą frygijską” (2) — ekran. powieści I.  
Newerjosa „Pamiętka z Celulozy”, reż.  
J. Kawalerowicz;  
22.10 „Prawdę mówiąc” — progr.  
publ.;  
22.45 Dziennik;  
23.00 Leonard Cohen — „Pieśń mi-  
łości i nienawiści” — wid. poet.-muz.

**PROGRAM II**

10.00 „Dom i my”;  
10.25 „Dom o północy” — rumuński  
film fab.;  
12.00 „Szkielko i oko” — mag. popul.-  
naukowy;  
15.35 Program dnia;  
15.40 Dla młodych widzów: „Cała na-  
przód” — rejs 10;  
16.10 Jęz. niemiecki, kurs podst., lek.  
5;  
16.30 Jęz. angielski, kurs podst., lek.  
5;  
17.00 Dla młodych widzów: sekrety  
kina;  
17.40 Postawy: odpowiedzialność;  
18.10 „Szkielko i oko” — mag. pop-  
naukowy;  
19.10 KRONIKA (KR);  
19.30 Dziennik;  
20.10 Wtorek melomana: wieczór mu-  
zyki A. Vivaldiego;  
21.15 24 godziny;  
21.25 Bez recept — rozmowy o wy-  
chowaniu;

22.10 Teatr TV: M. Gorki — „Na  
dnie”, reż. I. Cywalski;  
23.45 Jęz. niemiecki, kurs podst., lek.  
5.

**ŚRODA**

**PROGRAM I**

6.00, 6.30 TTR, RTSS;  
9.00 Dla szkół: chemia (kl. 7);  
11.00 Dla szkół: historia (kl. 7);  
13.30, 14.00 TTR, RTSS;  
15.20 NURT: matematyka;  
15.50 Program dnia;  
15.55 Obiektyw;  
16.15 Dziennik;  
16.30 Dla dzieci: „Michalki”;  
16.55 PE w piłce nożnej (ok. godz.  
17.45 losowanie Express Lotka i Maie-  
go Lotka);  
18.50 Dobranoc;  
19.00 „Camerata” — magazyn muz.;  
19.30 Dziennik;  
20.10 PE w piłce nożnej;  
22.10 Lekarz radzi;  
22.20 Dziennik;  
22.35 30 minut z architekturą.

**PROGRAM II**

10.00 „Brygady Tygrysa” — „Zbro-  
dnia sułtana”;  
10.55 Sonda;  
11.50 „Klaps”;  
11.50 „Camerata”;  
12.20 Towarzystwo Wiedzy Powszech-  
nej: „O godności człowieka”;  
16.05 Program dnia;  
16.10 Jęz. angielski, kurs podst., lek.  
16.40 Jęz. niemiecki, kurs podst. lek.  
17.00 Program morski;  
17.20 TWP: „O godności człowieka”;  
17.50 60 lat kina radzieckiego —  
„Szczętk imperium”, reż. F. Ermler;  
19.00 Piosenki tygodnia;  
19.10 KRONIKA (KR);  
19.30 Dziennik;  
20.10 „Dom o północy” — rumuński  
film fab.;  
21.45 24 godziny;  
21.55 Teatr Wspomnień. (1970): D.  
Graniin „Pierwszy interesant”, scen.  
reż. J. Antczak;  
23.15 Jęz. angielski, kurs podst., lek.  
5.

**CZWARTEK**

**PROGRAM I**

6.00, 6.30 TTR, RTSS;  
9.00 Dla szkół: język polski (kl. 3) —  
11.55 Dla szkół: Nauka o człowieku  
(kl. 8)  
13.30, 14.00 TTR, RTSS;  
15.20 Program dnia;  
15.25 Dla młodych widzów: program  
zastępowych;  
15.55 Obiektyw;  
16.15 Dziennik;  
16.30 Czwartek TDC: „O mnie, o to-  
bie, o nas” — film z serii „Był sobie  
raz człowiek”;  
17.30 Magazyn motoryzacyjny;  
17.55 Telewizja młodych: sposób ży-  
cia;  
18.20 Układ Warszawski — reportaż  
film.;  
18.50 Dobranoc;  
19.00 Sonda: „Ostrogi życia”;  
19.30 Dziennik;  
20.10 „Stawiam na trzynastkę” —  
film sensac. CSRS;  
21.40 Pegaz;  
22.30 Dziennik;  
22.45 „Jego Magnificencja Uniwers-  
tet Warszawski”.

**PROGRAM II**

10.00 PE w piłce nożnej;  
11.35 Popołudnie przygody i podróży;  
15.55 Program dnia;  
16.00 Jęz. rosyjski, kurs podst., lek.  
5;  
16.30 Jęz. francuski, kurs podst., lek.  
5;  
17.00 Poradnik wędkarski;  
17.30 Popołudnie przygody i podróży;  
19.00 Piosenki tygodnia;  
19.10 KRONIKA (KR);  
19.30 Dziennik;  
20.10-21.40 NURT;  
21.50 24 godziny;  
21.50 „Klaps” — mag. filmowy;  
22.20 Poradnia „Zaufanie”  
23.00 Język rosyjski, kurs podst., lek.  
5.

Podany przez nas w ubiegłym tygod-  
niu program tv okazał się — z przy-  
czyn od nas niezależnych — nieaktua-  
lny. Przepraszamy. Ponieważ Czytelnicy  
domagają się podawania takiego pro-  
gramu, czynimy temu zadość, nie mo-  
gąc na razie zagwarantować, że w osta-  
tniej chwili nie wystąpią zmiany.

**DUNAIEC** — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz odpow-  
dzielny), Adam Garbicz, Elżbieta Glinka (zastępca redaktora naczelnego), Antoni Kroh, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Krzysztof Pod-  
biera (redaktor techniczny), Stanisław Smierciał (fotoreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St. Żółkiewskiego 11. Telefon: 238-36, 238-90. Telex:  
0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon 203-29, 275-88 wewn. 238. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-  
Ruch” Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1.  
Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon: 270-89, oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na  
terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Informacji o warunkach prenumeraty udzielały oddziały RSW „Prasa-Książka-  
Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 206 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Cen-  
trala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-953 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11; prenumerata za jest  
droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Nr indeksu 35657. H-18



**ŁUDZI ŻYWYCH  
PROSZĄ UMARLI  
BY IM z GROBÓW  
KWIATÓW NIE KRADLI**

ŁAGODNA PERSWAZJA

Fot. AKR

Hej, smierciecko, panieneczko —  
daremnie się trudziś,  
Hej, jedynki! ludzi kosis  
a jus sie rodzom drudzy

Andrzej Skupień-Florek

## Jędrzej Topór i Śmierzc

Trzy raki minyły, jako u Topora na  
Cyrhli odprawiali Jędrzkowe radošniki.  
Jędrzek — to belo jus piete dziecko,  
hale piersy syn, tozto i radošniki stan-  
nyny fte niemale. Krzešni ojcowie, co  
Jędrzka trzymali do krztu i syčka upyta-  
ni gošcie trinkali sklenicami, zdrowka-  
jąc do siebie:

- Niek bedzie pokolony.
- Boze Wom dej zdrowie.
- Hej, na zdrowie.
- Kielo kropel...

Trzy raki od tego casu mineny i w  
Toporowej izbie na zle się obróciło.  
Trzyroczny Jędrus leży se na maminej  
pościeli — oznimóg sie, goracość go  
poli, chorošć jakosi no niego przysła...

Matka place, oblapio dziecko i Pana  
Boga pyto, co by go popušciło, co by  
tys nie umarł. A tu do izby cichuško  
wzłaza se Śmierzc i stoi. Uwidził, jam  
Jędrus, straf go wielki oblecił, zacon  
plakać, wolać:

— Jo nie fceć umierać. Nie fceć.  
Wpatruje się do niej i sepcie:  
— Mamusie mom, drewnianego kón-  
nicka siwego na kólkam mom, co mi  
go lata kupili, mom se i bic, co tak  
głośno strzyło.

— Nie fceć umierać, nie fceć umie-  
rać.

Śmierzc go jus za ręcuske bierze. Ję-  
drzek mu mamie sie wydziera, placem  
piere, od śmierzci sie odpiero, jako  
ino moze, i wolo

— Mamusiu moja, nie daj mie!

Śmierzc zywocjino takik lamentów, nic  
jej nie dziwne. Ozkazy boskie kono i  
nie patrzy na nic, ba kosi, takie jej  
prawo. Hale dzisok tu przy tym chlo-  
pcu cosi jam za sumienie rusyło. Dziec-  
ku świryšci z ocy kapiom, a matka  
reče nad nim ozłozyla i het trzymie.  
Zamyšlala se Śmierzc.

— Zje jakoz tyz to z tymi ludziskami  
jest. Tu na ziemi telo narzekajom, a  
do nieba išć nie fceć, a hań przecie  
telo dobre i pieknie, co cud. Hale  
niekzie ta jescie tyn chlopček oztanie na  
tym świecie, kie juz tak fce. Dzis nie  
musem go brać — ciekawok ino to,  
cy mie tys taki cłowiek zawolo som?  
Ej, wiera, niek ostanie! Uwidzimy, jako  
bedzie.

Noj Śmierzc posła sama, a Jędrus —  
Jędrus wyhipnon z mamusinej pościeli  
zdrowy, maminego karku sie łapil, kielo  
ino moil siły. Drewnianego konicka  
siwego, co stoł w kącie, pogłosok, i  
bica strzyłol i zył.

Roki sły, z malego chlopca wyrosł  
na parobka, jak sie patrzy, noj lešnym  
ostol, noj dobrze mu na świecie bylo.

Jednego casu seł se z flintom popod  
Kotlinow wierk i w jednej kwili — za  
wykrotem w maliniokak cosi zasušciło,  
Jędrzek, nie wolo myšćke, przyłozyl flin-  
te ku licu i lup! Jak strzelił, tak strzelił,  
a tu cosi ozdario sie cłecym glosem,  
noj naroz ucichło. Skacył Jędrzek wart-  
ko ś niom chodzowal.

— Maryš!... Maryš!... Cyk cie tys moze  
trafił?...  
— E, niy — nic mi, inok sie bars ze-  
stasyla.

## Zanotowane w Bukowinie Tatrzańskiej

Priszeł roz zażyć kumoter na  
chorego kumotra. Wesel do izby,  
stanył przj pościeli i godo:

— He, he, kumotrze, nie tro-  
pecie sie nie! Jescie pozyciecie sto  
roków, abo i więcej! He, tako  
chorošć te bzdura, tydzień nie  
minie, a hipniecie z pościeli  
i wio do koremy na gorzolkę!

Poukfalowol tak ś nim, a pote  
bierze sie do dumu. Zwyrtnon sie  
i durknon lbem o dźwirze, bo  
hań starodowno chalupa bela  
dźwirze małe.

Ej, trzysta diasków zjadło —  
zaklon. — Małe dźwirze, ciężko  
bee truchle do izby wtargać, ej  
ciężko!

Ozpajedił sie jedyn chłop na  
swojom babe, umyšil sie obie-  
sić. Wziön powrózek, poseł nad  
wode, kany rosla piykna wierba,  
wysel na ten wierbe, uwiązol  
powrózek, zaciągnyl se smyke  
na gorlo i hipnył dołu. Neć coz,  
kie gałeź sie złomila i chłop  
wpad do wody. Coz wom bedym  
dlugo godol, malo sie nie uo-  
piet. Wystyrmol sie na brzeg,

sion portki i kosule, siedzi se  
nagi pod wierbom i myšli se:  
— Hej, krotki miliošecy, bez  
to głupie wyionse byłbyk sie  
o malo nie utopiel.

\*  
Moja stara, nie umiroył,  
fłoz mi bedzie gacie piyrol.  
Moja stara juz umarla,  
nie bedzie mi gaci darla.

\*  
Kie jo bedym umiroył,  
weznył gęšle, bedym grol  
Kie jo bedym zycie kónceł,  
prasnym gęšle, bedym tónceł.

\*  
Kie jo podym na sąd boski,  
zatręsom sie moje nozki,  
zatręšie sie dusa, cialo —  
po coz ci sie dziwęcł fcialo.

\*  
Co mi po pieniżkak  
na lym plonym świecie,  
kie mie ze smyntorza  
słyčka odydziecie.

\*  
Kie gorol umiroył,  
nik za nim nie place,  
ino gorol wiołer  
po turnickak skace.

ozenił, dzieci mieli do światu i dobre  
bars. Syčko dobre im slo — byli do-  
prawdy sešliwi z noscešliwyk ludzi  
na świecie.

Jednego dnia, ozmyšlając se swoje  
sešliwie zycie, przepedił som do so-  
bie: — No, teraz choćbyk ta i pomar,  
to jus nic złego ani babie, ani dzie-  
ciom sie nie stanie — dadzom se rade,  
wyzjom.

Śmierzc jus przy nim. Wyciogo rękę  
pc!

— Zje kis ci diaski Śmierztecko, co  
mie telo napastujes? Nie zol by ci  
było tyk dzieci siryotami robić? Teraz  
dootero wiem, ze zylem.

Śmierzc zaš ozmyšluje, ozmyšluje,  
jas narešcie posła. Dnie i roki lecom, ucie-  
kajom. Jędrzej Topór sie zestarzol, byl  
jus dziadkiem kielanostu węcówk  
Śmierzc roz kiel ca przychodzila, za-  
zierała, hale gęš omijala. Za to za-  
brala mu napierwej babe, potem brala  
pomalučku dzieci, potem wnuczki po  
jednemu a wse. Stary ostol samučki,  
som, jako dziko gruska w polu pustym.  
Jas narešcie zełošciła sie Śmierzc.  
Z kosom fte przyłeciła, kie stary To-  
pór pod lešniarkom se siedziol i do  
słonecka sie grzol.

— Po coz ty jescie fces żyć? poć se  
mnom. Streńies sie hań z babom, z  
dzieciškami i z węcankami. Milowales ik  
bees ik miol przy sobie na colom  
wienocno! Tu jus ni mos nic do roboty.  
Zezyłes świat, staryš No, heboj!

— Ee e, nie holołij ze mi poza usk-  
skami, nie sušci... Cez tof? Tego słonka  
mi zalujes? Teraz dopiero świat mi sie  
widzi. Teraz fceć żyć, nie rčbić, po  
lasak, jabo i hań po wierchak tu stela  
se pozierac. Uciekajze, skądęš przy-  
šla — wynoś sie!

Ozłozyl reče przed sie, 'et trzymie.  
ogani sie. A Śmierzc obyrla kosom,  
ze kódkę tyrkla go w kark Jędrzej  
Topór zwalił sie na ziem — a w tej duse  
łapila Śmierztecka i poniesla na boski  
sąd.

## Z gawęd Jana Krzeptowskiego-Sabaly

W jednej wsi byla, prosem pieknie,  
taka baba strasnie madra. Syckom prawde  
wiedziala, toz to ludziom wrozyła,  
co wtorego cłeka cekka, abo kie umre —  
haj. Nalas sie chłop, co sie strasnie  
šmierzci bal i poseł do niej. Zapłaciel  
jej dobrze, bo jej dwie kury dal, coby  
mu ino pedziola, kie umre.

Toz to mu pedziola, ze jak pódzie  
do mlyna, a wywali sie, to juz po nim,  
to zaraz umre, haj.

On uwierzyl i kie seł do mlyna, šliz-  
gawica byla strasna jušci raz sie wy-  
walil.

Lezy i cekka, kie przydzicie šmierzc  
umre.

Przyłeciła šwinia i zacyna mu wo-  
rek ze siaciem targać. Tardze, tardze,  
a on nic. Jaze kie sie tezej wziena do  
niego i juz owies jadła, chłop zacon  
krzyceć na nie — haj, zalasnie.

— Je ksy, pódzies do chlewa! E, my-  
sino jedna kieby ja tez choć kóndek  
zwyty byl, dalbyk ci tez, a!z zebyk ci  
dal.

Jaze on tak lezal, a šwinia mu owies  
cysto pieknie ozesulo i zjadło — haj.

I, ca sie nie robi, przysel kumoter  
jego i podwignon go i cięško, nie leko  
mu napedziol, co uwierzyl, ze zyje —  
haj.

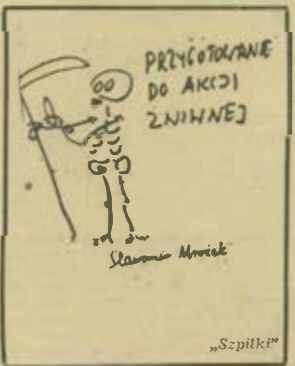
Ale kie do domu przydzicie, co sie  
tez ta, prosem pieknie, robielo — haj.  
Babsko miol wielgie i tegie, jušci ta-  
ka chłopa owladze.

Miliošnik bieda zjadła, aj, zjadła,  
namocyla powróz. Trzy dni sie macyl.

A pote kie ś nim nie zaconie młó-  
cić, to sie, prosem pieknie, cudecki ro-  
bielo — haj.

Zbiela go cysto pieknie do internetu.

Ino ty, chłopie, bab sluchoj, to ei  
wse žile wydzicie — haj. Jedna ci naga-  
da bzdur, a druga cie za to pote ro-  
zumu naucey.



„Szpilki”